SZKICE

OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

(Każda powieść tego zbioru przedaje się osobno.)

SZKICE OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Powieść Czwarta.



Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1840 roku 15 Listopada.

Cenzor Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego
Jan Waszkiewicz.

HISTORJA
O BLADÉJ DZIEWCZYNCE
Z POD OSTRÉJ BRAMY.

— Gdybym to co się ze mną od roku dzieje, jednemu z moich przyjaciół powierzył, myślałby żem oszalał albo przez sen bredzę! A jednak to wszystko stało się.

Rozdz. XVII.

I.

I.

Byłeś kiedy wieczorem u Ostréj bramy?— może nigdy; może tylko przechodziłeś przypadkiem, prędko, na nic nie uważając, świszcząc piosnkę wesołą, otulając się od chłodu, powracając z wieczoru za miastem. Wątpię bardzo żeby ciekawość lub nabożeństwo przyprowadziło cię tam późną nocą, wątpię żebyś doznał tego, czego doznaje człowiek nie ze wszystkiém zepsuty w tém świętém miejscu. Pozwól więc opisać Ostrębramę wieczorną. Widziałeś ją w dzień, może w chwili nabożeństwa, kiedy ulicę założą barykadą i tłum ciśnie się przed obraz Matki Bożéj, widziałeś ją gdy na odgłos dzwonka głowy się strojne i nie strojne uchylają, gdy przy blasku słońca, wśród wrzawy dziennéj skupia u nóg swoich garstkę nabożnych

wmięszaną w tłum obojętnych; ale inna, inna Ostrabrama wieczorem.

Gasną światła latarni, ustaje turkot powozów, ciemnieją po jednemu okna kamienic, drążki nawet powoli oddalają się i nikną, następuje cisza, w której najlżejszy szelest staje się znaczącym, wybitnym, że tak powiem charakterystycznym. Wśród dnia, wrzawy, hałasy, stuki, głosy, szmery mięszają się i zléwają w jeden dźwięk niepojęty, pospolity, nieznaczący; w nocy każdy głos osobno nabiéra znaczenia, zwraca uwagę, każe myśléć o sobie. Mało jest przesuwających się postaci, i każda też postać wabi oczy, zastanawia.

Ulica Ostrobramska jedna z piérwszych, usypia i pustą się staje — natenczas widzisz w niéj tylko, między niebem a ziemią zawieszone światełko przed obrazem Bogarodzicy, drobne, słabe, lecz niegasnące nigdy. Zbliżasz się, pusto i cicho, jakaś atmosfera spokoju cię owiéwa, zda ci się że płaszcz Matki Bożéj zsunął się aż na ciebie i osłonił cię, otulił. W górze za sklannémi drzwiami błyskają ci odbite od ozdób obrazu iskierki, które wedle kaprysu fantazij, składają się na dziwne konstellacje. Jeśli z in-

nego świata idziesz, postój chwilę i poczekaj, aż cię przejmie wiara, aż uczujesz potrzebę modlitwy. Naówczas z rozgrzaném sercem, wśród téj ciszy, ciemnoty, przed jednem światełkiem, dusza twoja wyrwie się z objęcia ciała i poleci do Boga! O! nigdy wśród wrzawy tak się człowiek nie modli.

Cóż jeśli traf szczęśliwy da ci tam towarzysza! jakże potężnie naówczas uczujesz żeś mu bliźnim, bratem, choćby on był w łachmanach; jakże silnie zrozumiesz, gdy twój i jego krzyk boleści wyrwą się z piersi razem, żeście obydwa z jednéj gliny ludzie! Jakże boleśnie przeszyje cię i ubodzie usłyszana przechodzącego zimnego człowieka piosenka pusta, podobna szatańskiemu szyderstwu!

Taką jest Ostrabrama w nocy, takie wzbudza uczucia — nie w każdym może, ale przynajmniéj w niezewszystkiém jeszcze popsutych ludziach.

Jednego wieczora jesiennego, kiedy już ulice puste były zupełnie, kiedy światło pozagasało i to jedno tylko, które nabożeństwo u obrazu Matki Bożéj zapala, gorzało; szedł ktoś świszcząc piosenkę wesołą z za Ostréj bramy w miasto. Dochodził do samych wrót, któ-

re ciemne i straszne otwierały się przed nim, gdy wśród najweselszych myśli, padło mu do głowy przypomnienie podania o owych Szwedach, którzy za nieuszanowanie Obrazu Matki Bożéj, skarani śmiercią na témże miejscu zostali. Młody człowiek świstać przestał mimo woli, wszedł dość bojaźliwie w przejście ciemne i westchnął. Owionęła go owa atmosfera Ostréj-bramy wieczorna, niosąca w piersi uczucia religijne. Minął szybko wrota i wyszedł w ulicę. Tu zdjął kapelusz z głowy i znowu pod wpływem miejscowym, zastanowił się szepcząc modlitwę, któréj początek był próżnémi słowy, a koniec zajaśniał dopiéro uczuciem. Już miał odchodzić, gdy usłyszawszy blizko siebie szelest jakiś i westchnienie, zastanowił się zadziwiony, jeśli nie przelękły. Spójrzał.

W galerij, na kamiennéj jéj posadzce klęczała postać, oświécona bladém światłem lampy od Obrazu; długi cień czarny wlókł się za nią niknąc w ciemnościach. Nie widać było twarzy, nie poznać wieku, nie odgadnąć postawy, uczuł jednak bardziéj niż zobaczył młody przechodzień, że to była kobiéta. Któżby był tak obojętny, aby w téj godzinie, ujrzawszy kobiétę modlącą

się na klęczkach, nie zapragnął poznać, jaka boleść ją tu przywiodła? Młody człowiek cicho się przesunął, i stanął za nią. Zdało się że ona nic nie widziała, a przynajmniej na nic nie uważała, bo nie postrzegł poruszenia żadnego. Teraz wśliznąwszy się w galerją naprzeciw światła, które ją oświecało, dokładniéj mógł rozpoznać tajemniczą kobiétę. Ujrzał zgrabną postać, każącą się domyślać młodości, drobne kształty, maleńką główkę gładko uczesaną i niczém nie pokrytą, ręce załamane i ściśnione. Im bardziéj się w to zjawienie wpatrywał, tém więcéj dla niego interessu nabiérało. Uczuł że przed tą modlitwą musiało być życie ciekawe, zarody cierpień, wiele boleści i pojął że po téj modlitwie następowała przyszłosć niemniéj zagadkowa i tajemnicza. Przeszłość i przyszłość téj kobiéty zajęły go i zapaliły, dałby był wiele, żeby to życie wiedzieć, które w téj chwili wykwitało w smutnéj modlitwie. Pomyślał, że dziewczynka skończy kiedyś przecie, odejdzie i czekał. Ona zawsze klęczała z załamanémi rękoma, tylko po chwilce opadła, skurczyła się, opuściła ręce, obwinęła chustką, sparła o mur i zdawała się już dumać nie modlić.

Wśród dumania wyrywały jéj się niezrozumiałe pół słowa, zrozumialsze westchnienia; nareszcie głowa co raz na piersi się pochylać zaczęła, jak gdyby pod ciężarem jakim i dziewczynka widocznie usnęła.

Młody człowiek ujrzał to ze zdumieniem, sądził że przypadkiem chyba, ze znużenia w takiém miejscu zasnąć mogła i umyślnie stuknieniem o kamienie ją przebudził. Obejrzała się, westchnęła, podniosła oczy na Obraz i usnęła znowu.

— Miałażby tu noc przepędzić w ulicy? pomyślał, to niepodobna prawie! Cóżby to znaczyło?

— Poczekajmy! I znowu czekał końca pochwycony za serce tą postacią tajemniczą.

Czekał długo, czekał niecierpliwie, nic się nie doczekał, dziewczynka wpół siedząc, wpół klęcząc spała. Zégar u Ś. Kazimiérza bił piérwszą z północy.

— Pójdę do domu, rzekł w sobie Edward, to chyba żebraczka.

Już miał odchodzić, kiedy spiącéj kilka słów z ust się wyrwało; zatrzymał się, gadała przez sen.

—Matko Boża, Matko Boża!—Zlituj się nad sierotą!

Potém znowu.

— Widzisz żem niewinna!—Umrzeć — umrzeć—z głodu!

I jeszcze po chwili.

—Nikt nie przyjął! Matko Boża—biédna Julka!

Te słowa z głębi duszy wychodzące, jak echo myśli, które tylko co jeszcze na jawie głowę biédnéj dziewczyny opasywały; przejęły głęboko Edwarda. On nigdy nie płakał, bo łzy się wstydził, jak niemęzkiéj rzeczy, teraz przecie uczuł łzę na powiece i drżenie serca. Sięgnął do kieszeni, wyjął co miał i po cichu położył pieniądze na kolanach dziewczynki— Przeżegnał się i po cichu oddalił.

II.

II.

Niewiem co powiodło nazajutrz Edwarda na mszą do Ostréj bramy — pewnie wczorajszy dobry uczynek, któren mu duszę zeschłą odwilżył i zostawił po sobie miłe wspomnienie. Wczorajsze wieczorne uczucia, których jeszcze ocierając się o ludzi nie starł, ciągnęły go znowu do miejsca, w którém, po raz piérwszy od dawna ich doznał. Ale też miejsce, o jakże teraz było różném! Ulica pełna była ludu gwarnego, suwające się powozy i drążki, swiegotliwe mleczarki, krzykliwe przekupki, fury drzewa, otoczone targującymi, napełniały wczoraj wieczór tak puste miejsce. Kilka pobożnych niebieskich i różowych kapeluszy swieciło pod galerją, kilka kręciło się na górze, kilka płaszczów czerniało o mur opartych. A przed

ołtarzem jasniejącym swiatłami, odprawiała się msza, któréj dzwięki tonęły w szumnym gwarze miasta. Edward, który szedł pełen uczucia, na widok tego życia cale zwierzęcego, poruszającego się w ulicy, bezwstydnie wrzeszczącego; ostygł i nie potrafił się pomodlić. Szukał tylko okiem miejsca, w którém wczoraj widział spiącą dziewczynkę. Było zajęte, klęczała tam kobiéta, zdało mu się że ta sama, ale któż wié? Skromny był jéj ubior, sukienka ciemna, chusteczka wełniana, fartuszek, włosy uczesane gładko, obówie czyste i zręczne. Modliła się z zapałem, z przejęciem, ze łzami, wzniesione miała oczy, ręce załamane, nie widziała, nie słyszała otaczającego ją świata. Twarz jéj w téj chwili była by malarzowi za wzór najlepszy religijnego uniesienia posłużyła. Blada, przezroczystéj owéj bladości nie nosiła jednak żadnych śladów, które niemoc ciała i choroby zostawują. Oczy wielkie czarne, łzawe, trzymała wlepione w obraz; usta różowe, w pół otwarte, maleńkie, dziecinne wyrazem swoim, swieciły ząbkami białemi. Wyrazu jaki te rysy ożywiał, upromieniał, opisać niepodobna; nie zmieniał on tyle twarzy, aby je piórem

lub pęzlem wydać było można, duszą je tylko uczuć i duszą odtworzyć wielki sztukmistrz byłby w stanie.

Wpatrzywszy się w zachwycającą tę postać, Edward kilka razy pomyślał, że to wczorajsza Julka, która spała pod płaszczem matki Bozkiéj, ale nie wierzył znowu w domysły, gdy szlachetnym rysom się przyglądał, zdawającym się niegodzić z życiem tak biednéj istoty, którą wyobrażał sobie uwiędłą, podciętą, zgniecioną.

Ale jak wczoraj przytrzymała go niewyraźna w ciemności postać nieszczęśliwéj, tak dziś zajęła go i przykuła jaśniejąca modlitwą i zapałem, cudna twarz nieznajoméj. Stał i żył oczyma i wcielał się w jéj modlitwę. I msza się skończyła i wszyscy się rozeszli i zgiełk w ulicy powiększył, a on jeszcze stał i patrzał, bo ona jeszcze klęczała i modliła się. Nareście powstała, ale nie odeszła, spójrzała na obraz, i usiadła na tém miejscu, w którém wczorajsza zasnęła. Edward chciał się doczekać odejścia, chciał się dowiedzieć cóś o niéj, — naprόżno. Godziny biły, leciały, goniły jedna drugą, musiał odejść, a ona została.

Wrażenia dnia dobrze zatarły w jego umyśle, dwa te obrazy; wpleciony w koło towarzyskiego żywota, w którém my wszyscy stękamy, pod młotem rozmów próżnych, powitań, zapytań, interessów, zapomniał na chwilę o Ostréj-bramie. Przyjaciele, którzy nigdy nie pojmują różnicy dnia od dnia, zmusili go do wczorajszéj wesołości, któréj po nim pod karą śmiészności wymagali, bo do niéj, według nich był obowiązany. Edward nie mogąc się od nich oswobodzić, musiał zdusić w sobie myśli poważne, uczucia czulsze, delikatniejsze, i znowu na świat patrzéć jak oni szydersko, zimno, zwierzęco. W duszy jego wielka zaszła odmiana tajemna od wczoraj; szparą jeszcze niezamkniętą spadło w nią nasienie myśli surowszych o swiecie, wyobrażeń sprawiedliwszych o ludziach, o kobiétach. Edward sam nie wiedział czemu to miał przypisać, bo przecie ta tajemnicza postać, domyślném swém nieszczęściem nie mówiła za nikim, bo przecie cie przeszłość jéj mogła bydź pokalaną;— a jednak przekonawszy się że jest prawdziwa wiara, głęboka i nieudana, poznał Edward, że musi bydź cnota także. Teraz, kiedy towarzysze je-

go szydzili wedle zwyczaju i z kobiet i z cnot ich, które tak często będąc tylko pozorem, nicufnym czynią na zawsze, — teraz on czuł niesmak w ich szyderstwie, jak człowiek któryby nadto zjadł jakiéj potrawy i wstręt ku niéj powziął.

Prędko z towarzystwa wprzódy lubego, oswobodził się udanym bolem głowy Edward, pobiegł do siebie i zamknął się. Tu tak wiele myśli razem uderzyło mu o piersi, że nie mogąc znieść ich ciężaru, znowu zapotrzebował rozrywki, i wyszedł na przechadzkę.

Miasto dręczyło go jak przyjaciele, pospieszył daléj, aby sam na sam tylko zostawszy z przyrodzeniem, z niego wyczerpnąć zasiłek mysli, pociechę, uspokojenie. W istocie, w takich chwilach, w których człowieka nawiedza wiara w Boga i wiara w cnoty ludzi, przyrodzenie najlepiéj do duszy przemawia, ono wówczas religijnych uczuć jest sprzymierzeńcem i pomocnikiem; gdy przeciwnie w momentach szału, rozpaczy, niedowiarstwa, widok jego nie mówi do duszy; rzekłbyś że przyrodzenie naówczas milknie, jak kwiat zamykający się przed burzą. Gdy Edward spójrzał w niebo,

czyściejszem odetchnął powietrzem, usłyszał szum drzew, swiergot ptaszków; wróciły mu uczucia kołyszące przyjemnie duszę, opadły kajdany które narzuciło towarzystwo zimne przyjaciół. Dziwnym sposobem, jął myśleć o bladéj dziewczynce, a razem o pociechach religij, o szczęściu jakie daje głęboka wiara.

—A! pomyślał, jakaż to boleść, jakie to cierpienie, jaka męczarnia nie ustąpią z serca, gdy tylko człowiek ma wiarę w przyszłość, w Bogu. Nieszczęściem, nikt jéj nie ma tak głębokiéj, tak wielkiéj, aby wystarczała na wszystkie życia próby; nikt nie pochwali się taką wiarą, a taka wiara, to więcéj niż wszystkie szczęścia, bo ona je wszystkie wyłącza i nieużytecznemi czyni! Wystawmy sobie człowieka, któryby żył nie światem i dniem dzisiejszym, ale Bogiem i wiarą—jakaż filozofija, jaka nieczułość, jaka pociecha zewnętrzna, wyrówna téj tarczy jego, którą zbrojny niezwyciężonym się staje. A jednak, dla czegoż ta wiara tak sponiewierana, że ją ledwie ci w sercach chowają, którzy już żadnéj ofiary nie czynią z życia, które dla niéj swięcą? Czemuż wszyscy wolą cierpieć, wolą rozpaczać, niż wierzyć w pokoju? Bo—tu się

Edward zamyślił—bo jedna część ludzi, rzekł do siebie po chwili, od dzieciństwa nie widziała przykładów wiary i nie uczuła jéj potrzeby, nie pojmując ważności; a druga wstydzi się wierzyć! Alboż niéma takich, którzy się modlą tajemnie, a pokrywając uczucia religijne jak występek, aby ich nikt nie zobaczył, tak jak gdyby one były tylko zabawką, jakiemuś tylko wiekowi i pewnym położeniom towarzyskim właściwą?

Tak myślał Edward, a serce jego otwierało się, czuł się szczęśliwszym, spokojniejszym, ufniejszym w przyszłość niż kiedykolwiek. Zdawało mu się że świat nawet popiękniał, drzewa pozieleniały, niebo pojaśniało, i ptacy weselej śpiéwali i ludzie—polepszeli.

Wieczór był, gdy do miasta powrócił.

Miasto tylko co się oswiecało jeszcze i stroiło do zabawy, która ustać miała dopiéro o północy, po północy. Okna zapuszczone sztorami, całemi rzędami jaśniały w ciemnościach, rewerbery jeden po drugim zapalały się, stragany i sklepy łojówkami i kienkietami stroiły. Ruch trwał jeszcze jak we dnie, tylko przechodnie byli rzadsi, a wśród pieszych wybitnie,

odznaczali się chłopcy uliczni swiszczący piosenki i dziewczęta chichoczące lub nucące, jakby dla przywabienia do siebie. Tam i sam odzywały się fortepiany, skrzypce, szejnekatrynki popularyzujące muzykę; w szynkach basetle zawsze warczące tylko ponuro; a dźwięki te pomięszane przerywał i krajał stukot pojazdów po bruku.

Złapać też było można w powietrzu urywki rozmowy, pytania bez odpowiedzi, odpowiedzi bez pytań, uśmiéchy i łkania, powitania i pożegnania, łajania i pochlebstwa, wszystko to bijące o siebie, spotykające z sobą, ocierające o siebie a połamane jak te sztuczki różnobarwne które do kalejdoskopu rzucają.

Wszedłszy w ten tłum, gwar i ciasnotę, Edward uczuł się znów przyciśniony życiem ludzi niespokojném i minąwszy kilka ulic skierował się ku Ostréj bramie. Co go tam wiodło?

O biédna naturo ludzka! jeśli szczérze wyznać mamy, wątpię aby myśli nabożne; raczéj ciekawość, interess, jaki w nim wzbudziła owa dwa razy widziana kobiéta. Może bydź, że w mięszaninie uczuć, były i inne jakie, ale w nich nie przemagała pewnie potrzeba mo-

dlitwy. — Takim jest człowiek, pod ciężarem ciała, które mu czynić każe często, czém się w duchu brzydzi; posłuszny jego instynktóm, patrzy na siebie, zna co czyni, a nie ma siły aby się odmienił.

Edward szedł ku Ostréj bramie, może dla tego powolnie, aby się sam oszukał i skłamać mógł przed sobą, perswadując sobie, że się jeszcze bez myśli i celu przechadza. W ulicy był ruch jeszcze, swiatła, ludzie. Edward zwolnił kroku dochodząc do galerij, zdjął kapelusz, obejrzał się, postrzegł postać, którą odgadnął, i modlić się zaczął.

Nie omylił się, znowu była tu dziewczynka! Ale nie sama, ktoś drugi stał przy niéj i rozmawiał z nią. Nie postrzegli Edwarda i mówili daléj, on podsłuchiwał, darujmy mu tę ciekawość.

— I jakże moja panienko, mówił głos chropawy staréj żebraczki, to ty tu nocujesz?

— Już to będzie trzecia noc.

— Tak sama jedna, pod tą bramą?

— Ot tutaj.

— I nie boisz się?

— A czegoż mam się bać, Matka Bozka nade mną.

—Czyżbyś już taki sobie kątka nie znalazła?

—Miejsca nie mam, a do karczmy nie pójdę.

—No, no, ależ by to taki gdziekolwiek można znaleść kątek; chyba już grosza przy duszy nie masz, a i tak—

—Ja się tu sobie modlę i dobrze mi—

—A zimno?

—Mam chustkę, przywykłam, bom sierota, do wszystkiego.

—A dla czegoż to straciłaś miejsce?

—O! to długa historja!

—Ta, ta! dla tego by ją można krótko powiedzieć.

Dziewczyna milczała. Po chwilce.

—Może panienka nie jadła?

—Jadłam trochę w dzień.

—A nie chce się jeść?

—Nie; a dla czegoż się pytasz?

—Dałabym ci obwarzanek.

—Bóg ci zapłać, stara! ja go nie potrzebuję, ale jak gdybyś mi go dała, tak ci wdzięczna jestem. Tyś sama uboga.

—Uboga! odpowiedziała stara, ale ja już do tego przywykłam! A do tego moja panien-

ko, niechaj ludzie gadają, a taki poczciwych jest i litościwych po swiecie, jałmużna przychodzi, a ubogi z głodu nie umiera. A bo by to panience obwarzanek zaszkodził?

Stara dobywała z torby powoli, zdmuchnęła, otarła, dała go dziewczynie i nie czekając podziękowania, głośno zacząwszy mówić — Zdrowaś Marja—odeszła.

Edward w czas naskoczył, żeby jéj rzucić złotówkę na rękę.

—To za obwarzanek, rzekł.

—Co? co? co jegomość mówi?

—To za twój dobry uczynek.

—Jaki?

—Coś dała dziewczynce z jałmużny.

—Niech cię Bóg błogosławi panuniu, nie ma o czém gadać.

Edward ją zatrzymał.

—Chciała byś żeby cię przyjęto do Dobroczynności?

—A mnie to na co! siedzieć jak przykutéj! zawołała; daj że mnie pokój. I poszła.

III.

III.

Nie będziemy już rozbierać i opisywać stanu duszy Edwarda, może i tak czytelnicy nasi, zawsze czego innego wymagający od pisarza nad to co uczynił i czyni!—może i tak niecierpliwią się już stojąc w trzecim rozdziale powieści, zawsze w miejscu, na którém ich pierwszy postawił. Cierpliwości, panowie mili, cierpliwości; kiedy pisarz czuje potrzebę zatrzymania się w jakiém miejscu, czytelnicy powinni z nim razem uczuć konieczność tego chwilowego spoczynku! a jeśli nie ma między nim a niemi téj sympatij, lepiéj książkę porzucić niż kłócić się z nią czytając. Po tak krótkim wstępie (proszę uważać że gdybym tylko chciał, mógłbym go był dziesięć razy dłuższym uczynić) powracamy do rzeczy.

Edward trzeci raz już spotkawszy nieznajomą dziewczynkę, skutkiem zapewne szczególnego usposobienia duszy, uczuł się nią silnie zajęty. Nie każda jałmużna, którą dajem, przywiązuje do obdarzonego; jego dar tajemniczy, zdawało się że połączył jakimś węzłem z ową biedną Julką, że na niego włożył jakieś względem niéj obowiązki. Broniąc się od myśli o niéj, bo czuł całą ich śmiészność, mimowolnie dumał o niéj, w nocy widział ją we snach, wstał z postanowieniem mocném wyszukania jéj, ofiarowania pomocy, dowiedzenia się o przeszłości. Nie poszedł jednak rano do Ostréj bramy, oczekując wieczora, a prawie pewnym będąc, że ją wieczór na zwykłéj modlitwie zastanie. Dzień mu się wydał długi i nudny, i nie dziw, oczekiwanie zawsze czas przedłuża, doświadczył tego każdy. Śmieszno też, gdy drudzy utrzymują, że dwie godziny są sobie równe, bo mają równą ilość minut i t. p. Śmieszno, gdy chcą koniecznie zrównoważyć rok szczęścia z rokiem cierpienia, bo oba równą ilość dni miały.

Nadszedł wieczór. Edward zmrokiem był u Ostréj bramy — omylił się, jéj nie było tutaj.

Zaledwie oczom swym wierzył. Przeczucie mówiło do niego tak głośno, tak wyraźnie, że ją tam znajdzie; byłby przysiągł że nie omyli, a jednak — Edward zaprzysiągł, że żadnemu przeczuciu nie uwierzy; a gdy tak przysięgał, nie odchodził przecie, sparł się i czekał. W kątku jego duszy, była iskierka nadziei — patrzał na miejsce, które zajmowała Julka, niekiedy spoglądał w ulicę, ale nikt nie przychodził. Edward zaczął się modlić, uczuł się bardzo smutnym, wstydził się sam siebie.

Wśród modlitwy usłyszał szelest w ulicy, drobnemi kroki, spieszno szła jakaś kobieta.

— To ona! to pewnie ona! pomyślał i serce mu zabiło.

Spójrzał i już nie wątpił; postać jej była tak charakterystyczna, ruchy tak cudownie zręczne i szlachetne, iż druga jéj stanu dziewczyna, miećby ich nie mogła. Tém mocniéj się przekonał, iż to była jego nieznajoma, gdy się zwróciła ku galerij, i uklękła żegnając na swojém miejscu modlić się.

Lecz zkąd wracała? — Więc miała znajomości, stosunki w mieście, zajęcia? Edward postanowił dowiedzieć się o wszystkiém i nie

chcąc jéj przerywać, czekał aż dokończy pacierzy. A tymczasem mierzył ją okiem badawczém, nie mogąc pojąć jak wprzódy, zkąd pod ubogą suknią służebnéj, sieroty, mogła wykwitnąć twarz taka, taka postawa? przez jaką szczególną przyrodzenia igraszkę, dostały jéj się wdzięki innego rodu ludzi, których jéj równi cenić nawet nie umieją?

— Przypadek! powiedział sobie, bo inaczéj pojąć tego nie potrafił.

W pół godziny może, wstało dziewczę od modlitwy, ale nie siadła usypiać tu jak piérwszéj nocy, przeżegnawszy się odchodziła. Edward potrzebował niesłychanéj odwagi, aby ją zaczepić; im prędzéj ją gonił, tém chyżéj uciekała; rzucił słowo, odwróciła głowę, spójrzała i pospieszała milcząc jeszcze bardziéj.

— Nie bójże się, rzekł Edward, zaklinam cię na wszystko, nie jestem zły człowiek, muszę się z tobą rozmówić koniecznie.

— Czegoż pan chce ode mnie? spytała odwracając się nagle zdyszana dziewczyna.

— Dowiedzieć się tylko coś za jedna i dla czego spałaś kilka nocy w galerij; czy nié masz opiekuna, miejsca, służby, sposobu do życia?

— Proszę, a cóż panu do tego? odpowiedziała idąc już dalej nieznajoma.

— Ale stójże, zatrzymując ją, wołał Edward; nie wiedzieć czego boisz się mnie. Ja nie jestem z tych młodych ludzi, którzy dla twarzyczki tylko gonią za dziewczętami, mogłaś mnie widzieć modlącego się — Uczułem litość nad twoim losem, zwierz mi się i zaufaj.

Dziewczyna wstrzymała się znowu, zastanowiła i spójrzała Edwardowi w oczy ciekawie, ale nic nie powiedziała. Zdawała się zdziwiona niezmiernie.

— Trzy dni jak codzień widzę cię rano i wieczorem u Ostréj bramy: czuwałem nad tobą, gdyś spała pod galerją; słyszałem cię narzekającą przez sen, płaczącą przed Obrazem— Musisz być nieszczęśliwa; może niémasz sposobu do życia, może —

— Ale zkądże ta litość? spytała dziewczyna naiwnie.

— Alboż ona jest tak dziwna?

— Nie dziwuję się jéj, ale boję od pana — odpowiedziała.

— Dla czegoż? mamże minę zbójcy?

Dziewczyna kręcąc końce chustki nic nie odpowiedziała, spuściła tylko głowę.

Edward sam kończył —

— Pojmuję zresztą, moja miła. Całe życie widziałaś młodych roztrzepańców i boisz się mojéj młodości?

Uśmiéchnęła się dziewczynka i kłaniając się, powiedziała.

— Dobranoc!

— Ale poczekajże na Boga, nie lękaj się choć kilka słów przemówić — Masz-że ty już służbę, boś jéj nie miała wczoraj jeszcze, kiedy ta stara żebraczka...

— Zkądże pan —

— Mówię ci, żem szpiegował dni kilka.

— Mnie! umyślnie!

— I stałem nad tobą, gdy — dodał Edward, gdy ci N. Panna zesłała we śnie jałmużnę!

— To pan!! zdziwiona krzyknęła dziewczynka.

— Wszystko widziałem; miałaś wówczas sen niespokojny, przez sen wołałaś do Matki Bozkiéj, aby się zlitowała nad sierotą, nad Julką — Wszak nazywasz się Julka?

— Zkądże pan to wiész?

— Powiedziałaś przez sen.

— A! a! przerwała dziewczynka, i pan wszystko słyszał! a ja — oczu już nie podniosę—

— Nic złego nie słyszałem — lecz wiém żeś biédna. Wracasz do miasta, musiałaś znaleść służbę?

— Nie panie! odpowiedziała dziewczynka; kiedy pan już tak gwałtem chce wiedzieć, to powiém, cóż robić — Z téj jałmużny założyłam sobie sklepik szkaplerzy, obrazków i paciórek, z którym siedzę w Ostréj bramie; a tu nie daleko najęłam mizerną izdebkę w suterenach.

— I z czegoż będziesz żyła?

— Z czego? spytała sierota głosem zadziwienia i odwagi — a mój sklepik, a mój zysk który mi da Matka Boża, pod któréj kosciołem siedzę?

— Ubogie to będzie życie, bardzo ubogie.

— Ale swobodne, rzekła Julka — już za nic nie chcę służby! za nic! to niewola, to nędza! Niech będę miała swój suchy kawałek chleba, na co mi więcéj!

— Ale tak sama jedna, bez pomocy, rady, opieki, tak młoda, cóż ty poradzisz?

— Mam Opiekunkę.

— Kogo? gdzie?

Odwróciła się ku Ostréj bramie i przeżegnała, mówiąc — Matkę Bozką!

— Słuchaj, rzekł Edward po chwilce milczenia, a naprzód odpędź wszelki strach, wszelkie niedowiarstwo. Widziałem cię w największém twojém nieszczęściu, pobożność twoja podobała mi się, interessujesz mnie; jeślibyś kiedy potrzebowała mojéj pomocy zgłoś się do mnie, oto mój adres i nazwisko. Teraz na początek handlu daję ci jeszcze sto złotych, najmij lepsze mieszkanie — Za moją litość zapłacisz mi, jeśli opowiedzieć zechcesz, co cię do tego stanu przywiodło, żeś nie miała gdzie głowy położyć?

Dziewczyna zdziwiona, przelękła prawie na widok pieniędzy, cofnęła się.

— Cóż to, boisz się znowu?

— Panie! ale panie! bąknęła, bo prawdziwie, bo —

— Weź to jako dar Matki Bożéj, nie mój, jako nagrodę ufności w jéj opiece. Jutro nad wieczorem, przyjdę do twego sklepiku pogadać z tobą.

— Ach! zmiłuj się pan, zakrzyknęło dziewcze, wzięte oddając pieniądze, nie czyńże tego, proszę! nie czyń.

— Czemuż?

— Ja nie chcę, nie chcę, dośćby na moją zgubę jednéj takiéj rozmowy.

— Przecież się muszę dowiedzieć więcéj o tobie?

— Ach, ale nie tam — wszyscy będą myśleli —

— Do siebie nie pozwolisz mi przyjść i oto nie proszę — toby ci więcéj szkodzić mogło.

Dziewczynka témi słowy zdziwiona, nabrała odwagi od nich.

— Jutro wieczór u Ostréj bramy — pod Obrazem; będzie święty świadek rozmowy, a ja nie tyle się będę lękać.

IV.

IV.

Mamże mówić o niespokojném oczekiwaniu jutra Edwarda? — nie, széroko o tém piszą tylko ci, którzy sztukować się muszą rzeczami oklepanémi, którzy w braku ładunku prawdziwego, pakują balast nic nieznaczący; my (nie wyrzekając się na dal, bo to ludzka rzecz) damy temu, ten raz przynajmniéj, pokój.

Jak tylko dzień zmienił się w wieczór, który wieczorem z biédy tylko nazwać było można, bo jeszcze nie było nawet zupełnie ciemno; Edward poleciał do Ostréj bramy. Zastał już tam Julkę, która klęczała i modliła się, mając przy sobie w chustce zawinięty cały swój sklepik, tylko co jeszcze zdjęty. Szanował Edward modlitwę i stanął zdaleka; jeszcze

też ulica nadto była ludna, aby nie narażając się na śmiészność, na dziwaczne przechodniów domysły, można było usiąść do rozmowy pod oczyma owego świata miejskiego, który sam zepsuty, we wszystkiém widzi, (tam nawet gdzie go niéma) samo złe. Powoli też ruch ustawać począł, Julka skończyła modlitwę i obejrzała się.

— Dobry wieczór, rzekł Edward.

— Dobry wieczór, odpowiedziała smutnie.

— Dziękuję ci za dotrzymanie słowa.

— Niéma za co; odezwała się smutnie — prawdziwie, teraz, jakem się namyśliła —

— Cóż takiego?

— Tutaj, w tém świętém miejscu.

— Nie zechcesz zapewne rozmawiać — podchwycił Edward.

— Nie potrafię — ja tu tylkobym się modliła.

— Gdzież więc?

— Ale ja nie wiém! prawdziwie —

— Pozwolisz mi wejść do siebie?

— Pan jesteś nabożny — ufam panu — pan jesteś tak dobry — ale — boję się ludzi; przerywanym głosem tłumaczyła się Julka — Gdy-

by kto widział, że Pan jesteś u mnie, pomyśleliby, że jestem nic dobrego.

— Jak chcesz, rzekł Edward, który pałał ciekawością bliższego poznania osobliwszéj dziewczyny — Jeśli nikt nie przychodzi do ciebie, któżby mnie zobaczył?

— No to chodźmy, biorąc swój węzełek i ogarniając się chustką, odpowiedziała Julka — Nie daleko ztąd; tylko że nie wiém jak pan wejdziesz — u mnie tak mizerna izdebka.

— Chodźmy, chodźmy! zawołał Edward. Poszli w milczeniu.

Minąwszy Cerkiew Ś. Ducha, dziewczynka zwróciła się na prawo, ku jednéj z większych kamienic; poszła prędzéj, potém zastanowiła się, obróciła i rzekła.

— Uważaj pan gdzie wejdę, a daj mi czas przynajmniéj świécę zapalić; przez litość nad biédną dziewczyną, uważaj, żeby nikt nie widział.

— Dobrze, dobrze, odpowiedział Edward, któryby był w téj chwili przystał na wszystko; cofnął się i poniewolnie szedł z daleka.

Wkrótce ujrzał Julkę, odmykającą drzwi suterenu, i spuszczającą się w głęboką jego szy-

ję. W chwilkę potém wyszła ze świecą, którą zapaliła u sąsiadki w dziedzińcu i przyniosła zakrywając fartuszkiem od wiatru.

Naówczas Edward obejrzawszy się ostróżnie do koła, przekonany że nikt go nie widzi, prędko przybiegł do drzwi; ale w nich mimowolnie zastanowił się. Nigdy w życiu nie spuszczał się do podobnego mieszkania. Było to istne wejście do lochu, długim wązkim korytarzykiem, po wschodkach nieźmiernie stromych, ślizkich i chwiejących się. Ciemno też było i w drugich drzwiach w dole, święcące przez szybę światełko, wiodło go tylko. Nareście nie bez trudności, dobił się tych drzwi drugich i wszedł powoli. Uderzyła go ciężka i wilgotna atmosfera tego podziemnego mieszkania, do którego światło dzienne i promienie słońca, nie dochodziły nigdy, bo kilko szybowe okienko, na wpół w bruk zapadłe, nie dopuszczało ich. Izba była sklepiona, mur niebielony, zielony od wilgoci, piecyk maleńki i kominek na prawo; na lewo łóżeczko i zydel, skrzynka pod łóżkiem, składały sprzęt i wygodę całą. Na kominka kapturze paliła się świeczka, dziewczynka siedziała na zydlu z twarzą rękoma zakrytą,

u nóg jéj leżał węzełek przyniesiony. Trzeba przyznać, że o ile tak mizerne mieszkanie czystém być mogło, o tyle niém było. Nad łóżkiem wielki niezgrabny obraz Matki Bożéj Ostrobramskiéj, przylepiony był opłatkiem.

Ujrzawszy wchodzącego, podniosła głowę Julka, wstała i podeszła ku niemu.

— Ja jestem biédna, uboga, nieszczęśliwa sierota, pan bogaty i szczęśliwy — często podobni panu za żart mają zgubić kogoś; wszak tego nie uczynisz?

Edward odskoczył.

— Przysięgam ci na tę Matkę Bożą, przed któréj obrazem piérwszy raz cię obaczyłem, że nigdy myśli téj nie miałem i mieć nie będę! Nie ufasz mi, lękasz się? — pójdę.

— Ach panie! odpowiedziała Julka — sam powiedz, cóż to dziwnego, że nie ufam, że się lękam? Dałeś mi pieniądze, gonisz za mną, jesteś młody! Ludzie i litość udają.

— Więc, dobranoc ci i uspokój się, nie chcę cię niepokojem nabawiać, późniéj może gdy lepiéj mnie poznasz.

— Nie idź pan, nie — zawołała dziewczynka — przysiągłeś na Matkę Bożą, ja wierzę te-

raz, bo ktoby taką złamał przysięgę, tenby wart paść trupem jednéj minuty.

Była chwilka milczenia, dziewczynka uspokojona, pokazała na chwiejący się zydelek Edwardowi, a sama pobiegła usiąść na łóżku.

— Przyjąć pana niémam czém.

— Tém o co najmocniéj proszę, na co czekam, twoją historją.

— Och! odpowiedziała, smutna! I nie raz mi się wśród niéj łzy potoczą, bo ich było dużo w życiu — więcéj niż na moje lata być ich powinno. Zaczęły się bardzo wcześnie, a Bóg wie kiedy skończą! Ale nadzieja w Bogu i N. Pannie, że nie opuszczą sieroty.

— Jesteś tutejsza, z Wilna, spytał Edward naprowadzając ją na początek.

— Zaraz wszystko powiem.

Podparła się na łokciu, westchnęła, zaczęła.

V.

V.

—,, Niewiem kto byli moi rodzice; znaleziono mnie maleńką w pieluchach, na słomie u bramy jednego domu na wielkiéj ulicy. Chciano podobno z początku odesłać do Siostr Miłosierdzia, ale potém jakoś zlitowała się nade mną szynkarka, która na dole tam miała szynczek, wzięła i wykarmiła. Ona sama nie miała dzieci, kochała też mnie biédna.

Ja tego mało co pamiętam, jak przez mgłę, słyszałam tylko od ludzi. W kilka lat biédna kobiéta umarła i zostawiła mnie znowu na Bożéj opiece, bo Bóg podobno ojciec sieroty.

Siostrzeniec jéj, wyrzucił mnie z domu, nie myśląc karmić; a gdym siadłszy płacząc w uli-

cy, głośno wołała matki; ludzie się zaczęli gromadzić koło mnie, rozpowiadać o nieboszczce i kląć nielitościwego siostrzeńca.

Młoda jakaś pani przechodziła, zastanowiła się, postrzegła dziecię, rozpytała się o mnie i wzięła do siebie.

O! dobraż to była pani, nabożna, cierpliwa jak anioł, ale nieszczęśliwa, bo płakała często. Ona to nauczyła mnie modlić się i ufać w Bogu, ona dała mi wielki skarb na sieroce życie — pobożność, cierpliwość. Patrząc na nią musiałam ją naśladować i nigdy potém nie zapomniałam o niéj, o jéj macierzyńskich naukach. I ta umarła zostawując mnie małą, znowu bez opieki, samą jedną.

Mąż jéj, który tego anioła nie pojmował, nie rozumiał też litości dla bezużytecznéj sieroty. Poszłam z tego domu z wielkim bolem serca. Wzięła mnie potém jedna przekupka, z któréj kramikiem siedziałam długo w Ostréj bramie, trzy lata prawie.

Nie mogę narzekać, życie to było roskoszne; gdy wspomnę jeszcze, łzy mi się kręcą po sercu. Rano bywało, szłam z moim stołkiem i towarem, gdy jeszcze spało miasto, przycho-

działam na piérwszą mszą u Ostréj bramy, któréj słuchałam często sama jedna, albo z kilku mléczarkami, potém szłam na swoje miejsce spokojne i siadałam. U mnie były do przedania obrazki N. Panny i Świętych, małe xiążeczki nabożne, abecadła, szkaplerze, krzyżyki, paciórki, wstążeczki, szpilki, pierścionki mosiężne, medaliki — tyle pięknych rzeczy, którym się wieśniaczki idące i wracające z targu, tak dziwiły! Dzień wschodził, siedziałam na świeżém powietrzu, wśród ludzi, targowałam złotych kilka, miałam co zjeść i byłam szczęśliwa, bardzo szczęśliwa! Ludzie, których tyle się do Ostréj bramy zbiéra, wszyscy się modlili, wydawali mi się poczciwymi i dobrymi! Nie jeden kupiwszy co, dał groszyk dla biédnéj dziewczynki, kupowałam sobie mléka, jabłek i długo błogosławiłam go. Wieczorem zmrokiem, gdy tylko żebracy przychodzą modlić się u Ostréj bramy, szłam do domu. Tu przędłam, albo pomagałam gospodyni. I sny moje wówczas swobodne były i wesołe. Nie raz pamiętam widywałam we śnie N. Pannę z Panem Jezusem, która mi rzucała grosz na mléko, lub bułkę białą! Teraz nigdy

mi się to nie śni, często i przez sen nie można się nawet poradować, kiedy na jawie serce pęka. Szczęśliwemu i we śnie szczęście, biednemu łzy i przez sen.

Mój Boże, jak ja pamiętam te trzy wiosny u Ostréj bramy i te trzy lata. Zima tylko dokuczała trochę, bo nie było się czém okryć, trzeba było chuchać w ręce, bić nogami, żeby się rozgrzać. Inne przekupki miały żar w garnkach, śmiały się żem marzła; ja kiedy było bardzo zimno, myślałam o wiośnie i o lecie, albom się modliła.

Raz, w końcu tych trzech lat, wieczorem, chora czegoś wróciłam do domu, jesień to była chłodna, dészcz bijący z wrót, przemoczył mnie do nitki, bo miałam nie dobre miejsce; gorzéj jeszcze, pomokły szkaplerze i obrazki. Przekupka zobaczywszy to o mało mnie nie wybiła za to. Płakałam nie wiedząc co począć; w nocy siedziałam i suszyłam po jednemu wszystko przed kominem, ale że ogień był z trzasek mokrych i więcéj dymił niż grzał, do ranku przyszło i już dzwonili na czwartą, gdym robotę skończyła. Ledwiem się spać położyła i usnęła płacząc, przebudziła mnie gospodyni

z łajaniem, mówiła że niedziela, chłopi rano bardzo na targ jadą i kazała zaraz iść z kramikiem do Ostréj bramy — Mnie się spać chciało, tak że padałam ze snu. Całą noc nie spałam, czułam się chorą, głowa ciężyła, nogi drżały, oczy się mrużyły. Ale kto służy ten musi słuchać — poszłam.

W ulicy jeszcze nikogo nie było, w Ostréj bramie nikogo, nawet przekupek co najraniéj siadały — zmrok i sen wszędzie, wszyscy spali, mnie tylko zasnąć nie dano. Usiadłam płacząc na mojém miejscu i nie wiém jak ciężkim snem, oparłszy się o mur zasnęłam. Nie wiém jak długo spałam na moje nieszczęście, obudziwszy się mało nie umarłam z przestrachu — przede mną stał tylko goły kramik, paciórki, wstążki, obrazki, szkaplerze — wszystko znikło. O mój Boże! języka niémam na opisanie mojéj rozpaczy; wolałabym była umrzéć; rzuciłam się na ziemię płacząc, przekupki zaczęły śmiać się ze mnie — pobiegłam do Obrazu Matki Bozkiéj i prosiłam Jéj o pomoc, o ratunek — Ona cudowna, mogła cud zrobić, ale ja widać grzeszna nie byłam cudu warta, bo mnie nie wysłuchała. Nie wiedziałam jak się

pokażę przekupce i chciałam z początku uciekać, ale pomyślawszy że ona mnie może o kradzież posądzić, że biédna ma troje dziatek a uboga, a ja powinnam przynajmniéj odsłużyć, kiedy nie mogłam zapłacić,— poszłam do niéj, nie bez wielkiego strachu.

Przekupka nie zważając na moje łzy, wybiła mnie, odarła z odzienia i wypchnęła z domu. Odszedłszy kilka kroków usiadłam na kamieniu i płakałam; jakiś pan z panią szli ulicą, zaczęli do mnie gadać, rozpytywać się, a poszeptawszy cóś między sobą, kazali mi pójść. Poszłam za niémi dziękując Najświętszéj Pannie; Ona to ich sprowadziła;— i to był cud dla sieroty.

Pani moja i pan nowy bardzo byli dobrzy ludzie, łagodni, poczciwi, pobożni; żyli z sobą przykładnie i zgodnie, a mnie nie jak sługę, lecz jak sierotę uważali w domu, któréj czynili dobrze dla miłości Bożéj. Dla czegoż tak krótko trwała spokojność, tak prędko wszystko się zmieniło! Tak dobrze było mi u nich! Ale na świecie, od wieków to powtarzają, długo być dobrze nie może, bo na to świat ten. Naprzód pani umarła, po któréj płakałam gorzko; po-

tém pan zaczął słabnąć, chorzeć, z żalu usychać i nawet przytomność tracić powoli.

Jak tylko dowiedzieli się o tém jego krewni, pospieszyli do niego, obsiedli oni, opanowali bezsilnego staruszka i całym domem trząść zaczęli. Wkrótce z pana stał się ich sługą, a płacz brał patrzeć, jak z nim nielitościwie się obchodzono, jak często wszystkiego mu brakło, gdy słudzy obcych, brali i porywali pełnémi rękami.

Kilka razy ujęłam się za starego pana, nie dałam rozrywać jego dobra i niszczyć; ztąd gniéw na mnie poszedł, odgróżki, a potém i zemsta. Słudzy obcych zmówili się na sierotę, i popełniwszy sami kradzież, jednogłośnie zwalili ją na mnie. Nie było dowodów żadnych, obrażona podejrzeniem pobiegłam do pana z płaczem i skargą na krewnych. Chciał mnie bronić, ale nadbiegli, w oczach jego łająć mnie zaczęli, domagać się aby mnie odprawił. Tyle krzykiem swoim sprawili na biédnym, osłabionym starym, iż milczeniem na wszystko dozwolił. Nie miał siły się oprzeć. Płaczącą wyrzucono mnie za drzwi, wśród śmiéchu, szyderstwa i najgrawań sług obcych. A! jakże

mi się okropnie serce krajało, kiedym wychodziła z domu, w którym tak dobrze niegdyś mi było, w którym rzucałam biednego starego pana, w ręku rozbójników! Lecz cóż począć było? Zabrawszy rzeczy, poszłam do Ostréj-bramy.

Cały dzień tam przesiedziałam, całą noc— Pan widziałeś mnie i wiesz resztę.

Edward, który z ciekawością słuchał opowiadania Julki naiwnego, powstał w téj chwili zadumany.

— Biedna sierota! zawołał, miałaś przeszłość ciężką, bez pociech, rodziny, opiekunów, rzucał cię los z tułactwa w tułactwo;— mam nadzieję, że przyszłość lepsza będzie.

Julka nic nie odpowiedziała.

— Umiesz ty czytać? spytał po chwili Edward.

— Trochę.

— Cóżeś czytywała?

— Xiążki nabożne.

— Co za szkoda, pomyślał w sobie młody opiekun. Tak piękna, według wszelkiego podobieństwa pełna zdatności, oczewiście rostro-

pna i poczciwa, zginie w tłumie, na dnie gminu!

Chciał jeszcze coś do Julki powiedzieć, lecz ona wskazując na dogorywającą na kominku świécę, rzekła po cichu.

— Dobranoc panu, już późno.

Obejrzał się raz jeszcze Edward i wyszedł w ulicę milczący, myślący, niespokojny, sam nie wiedząc czemu i dla czego?

VI.

VI.

Zwierzenie się jakiegokolwiek rodzaju, jest wielkim węzłem; dwoje ludzi obojętnych sobie wprzódy, wiążą się czasem jednem słowem powierzonem tajemniczo, jednem wylaniem serdecznem, jedną powieścią o przeszłości. Edward uczuł się połączonym z tajemniczą sierotą, której los przeszły wiedział a przyszłości pomagał, ona także, choć z bojaźnią rachowała trochę na jego opiekę. I nie samo opowiadanie dziewczynki tak ich połączyło, widzieliśmy wprzód, że Edward zajął się nią przez litość, przez ciekawość, przez jałmużnę, przez uczucie jej niezwyczajnej piękności. Wiele więc rzeczy, nie dało mu o niej zapomnieć. Ona nawzajem,

pamiętała o nim, myślała, bo musiała mu być wdzięczną.

Stosunki ich z sobą, nosiły cechy szczególne, — z jego strony delikatność, jakiéj w obcowaniu z niższemi nikt prawie nie czuje się obowiązanym zachowywać, udany czy prawdziwy chłód i rozwaga, bezinteressowność zupełna; z jéj strony, bojaźliwe niedowierzanie, wdzięczność lękająca się wynurzyć i okazać, codzienny strach, aby dobroczyńca nie zmienił się w charakterze i postępowaniu. Codzień się prawie widywali, codzień pytał ją o handel, o zdrowie Edward; ona zawsze bojaźliwie, trwożnie odpowiadała, każdym prawie śmielszym jego ruchem przestraszona. Nie było jednak czego bać się tyle; Edward nie był ani tak zepsutym, aby ją uwiódł, ani tak ograniczonym umysłowie, aby ją mógł pokochać. Wdzięk twarzy, głosu, spójrzenia, działał na nerwy młodzieńcze; lecz odrobina uwagi rozpędzała uroki.

Edward marzył o miłości, kochał dawniéj, ale jak wszyscy młodzi, w téj namiętności niebieskiéj, szukał pokarmu dla duszy, pokarmu myśli, nie rozrywki ciału; — marzył kochankę

Korynnę, któraby go pojęła, exaltacją upoetyzowała i sam szał opasała kwiatami wyobraźni. Mógłże potém pokochać biedną Julkę, tak ubogą, tak niepoetyczną z blizka, tak prozaicznie siedzącą z kramikiem u Ostréj-bramy? A jednak, jednak gdy wpatrywał się w rysy jéj twarzy, gdy rozbiérał znaczenie jéj spójrzenia, intencją i myśl uśmiechu, nie raz, nie raz marzył, że ona chyba udaje prostotę, bo nie pojmował, jak tak piękna, mogła nie mieć poetycznéj duszy? Jleż to razy podobnie zachwyca nas kobiéta wiele mówiącém spójrzeniem i ciągnie, i obiecuje światy ideałów — dopóki się nie odezwie, nie przemówi.

Posąg który Pigmaljon starożytnych, chciał ożywić, pokochawszy kształty jego cudowne, nie tyle go dręczyć musiał swoją nieczułością marmurową, ile nie raz dręczy kobiéta, któréj duszy brakuje. A ileż takich kobiét w świecie, tysiące, milljony; — mijasz je, spoglądasz, wszystkie obiecują póki milczą i serca młode i umysły wyższe, ukształcone; w ich oczach czytasz marzenia wielkie, w uśmiechu dowcip, w poruszeniach uczucia! Prośże niech milczą, niech milczą; bo zginąłeś gdy tylko u-

sta otworzą. Czasem osłupiejesz zdumiony, gdy z oczu co innego, co innego z ust wyleci; ale któż winien? ty sam łatwowierny młody chłopcze, któryś cieniebyś ściskał po nocy, gdyby tylko westchnieniem nic nieznaczącém się odezwały.

Nie mamy za złe kobietom żadnego zwodzenia, za które dawniej tak bardzo na nie wykrzykiwano; żadnego, prócz tego jednego. Czemuż nie są po większéj części tak piękne w środku, jak po wierzchu? czemu obiecują duszę, gdy nie mają tylko instynkta? czemu świecą poezją przez oczy, gdy nie wiedzą co poezja? czemu uniesienie grają, gdy wewnątrz nich chłodno jest jak pod północnym biegunem. A tu znowu potrzeba uniewinnić kobiety i oneby nie oszukiwały, gdyby z jednéj strony — ale dajmy temu pokój, bośmy się puścili manowcami, jak podróżny który postrzegłszy kwiatki, rzuca gościniec, aby się im przypatrzéć bliżéj; wróćmy do Edwarda i Julki.

Czego najbardziéj na widok pięknéj dziewczynki doznawał Edward, to przykrego uczucia politowania, nad zaniedbaném jéj ukształceniem. Zdawało mu się, był przekonany, że

gdyby inny świat, inne wyobrażenia ją otoczyły, stała by się czémś niewidzianém, cudowném, istotą rzadką, łączącą w sobie wszystko co tworzy ideał. Zajęty nią i zajmujący się coraz bardziéj, potrzebował téj hypothezy, na wytłumaczenie przed sobą, swojego przywiązania ku niéj. Tym czasem hypotheza ta zupełnie *a priori* wzięta, zasadzała się na jednym tylko exystującym przymiocie—piękności. Z niéj domyślał się Edward reszty, za ślad pięknéj duszy, biorąc tę pobożność posuniona do exaltacij, która cechowała sierotę.

Witając ją z rana, dobranoc mówiąc wieczorem, przechodząc, poglądając nazwyczajał się Edward patrzeć na tę twarz tak wdzięczną i powziął coraz silniejszą myśl, próby ukształcenia, które wprawdzie przychodziło trochę późno—ale on rachował na excentryczność istoty, na jéj zdatności, a trochę na tę empiryczną edukacją, którą daje miasto, a która przysposabia (jeśli nie zawadza) do calszego potém ukształcenia.

Julka okazywała, że ta empiryczna edukacja miejska, którą się prawie łapie w powietrzu, a która jednak czyni o wiele umysłowie wyż-

szym miejskiego od wiejskiego mieszkańca, nie zginiona była dla niéj. Skorzystała z niéj, nie tak jak wiele i kobiet i mężczyzn, którzy złe tylko wsiąkają w siebie, ona wsiąknęła co lubiła; to co było piękne, dobre, poczciwe; wsiękła też urywkowe wiadomostki, nabrała smiałości— Ale czego nikt jéj nie dał, tylko Bóg przy urodzeniu, to takt szczególny w postępowaniu, w ruchu, w mowie, jakieś przeczucie szlachetności i przyzwoitości, jakiś instynkt który wiódł jéj postępowaniem i językiem. Ten to takt, najwięcéj obiecywał Edwardowi, gdyż będąc czasem towarzyszem głupstwa w wyższych klassach towarzystwa, w niższych jest zawsze oznaką wielkich zdolności.

Gdybym miał czas łatwo bym ten pozorny paradox wytłumoczył, lecz idźmy daléj, niemamy czasu do stracenia; powiedział by kto potém jeszcze, że się tylko sztukujem.

Chcąc jednak coś więcéj zrobić z téj dziewczynki, Edward nie wiedział zupełnie, jak się wziąść do tego. Późno już było myśléć o prawidłowém ukształceniu, sam stan jéj czynił to nie podobném. Pomyślał Edward o xiążkach, lecz przebiegłszy je wyobraźnią, przekonał się,

że ci którzy nie systematycznie kształcą się czytaniem bez wyboru, wprawdzie mogą w końcu odnieść z tąd korzyści, ale też narażają się na niebezpieczeństwo. Kropelki prawdy pływają w książkach, rozprawione morzem fałszów i czczych dodatków; wyciskać je potrzeba jak odrobinę farby z wielkiej ilości przygotowanego materjału. A ileż razy barwa wyjdzie nieczystą i zalaną mętami? Widział także, iż prosta dusza istoty naiwnej, wiele. był rzeczy w książkach wzięła za prawdy, które tam są rzucone szyderczo, nierozmyślnie lub dla wyśmiania tylko. Pojmując jednak niebezpieczeństwa kształcenia się na książkach, Edward nie widział dla swej wychowanicy innego; a w części usunąć myślał zły wpływ, dobrym wyborem, który miał uczynić! Tak więc mimo wszystkich uwag ostrzegających, Edward przedsięwziął namawiać Julkę, aby długie godziny próżnego życia, sprobowała zająć czytaniem.

— Naówczas gdy się ta piękna dusza, mówił do sieb e, spiąca jeszcze w pączku, rozwinie, gdy rozkwitnie, cóż to za anioł będzie! Ona dziś ubrana w suknią wytworniejszą, nie

jedną by zawstydziła z naszych panien, cóż dopiero później!

Ale Edward, jak wszyscy ludzie, którzy dogadzają sobie, nie pomyślał jakie z tego ukształcenia niestosownego dla stanu jego wychowanicy, wynikną następstwa; nie spytał siebie o przyszłość, nie zastanowił się czyli to będzie szczęściem dla Julki.

I jednego wieczora, naprowadził rozmowę na książki. Szli właśnie ulicą od Ostrej bramy do jéj mieszkania.

—Julko, spytał, nie nudzisz że się ty siedząc dzień cały bez zatrudnienia za twoim kramikiem!

—Bez zatrudnienia? podchwyciła. A to pięknie! przecież robię pończochę, muszę uważać na przechodzących, a do tego modlę się jeszcze.

—Są jednak godziny próżne, nie nudzisz że się, nie czujesz potrzeby, jakiego innego szlachetniejszego zajęcia?

—Mówiłam panu, że się modlę! powtórzyła nie pojmując o co chodziło.

—Nie zawsze jednak i modlić się można.

—Jak to? niezawsze? zdziwiona podchwyciła.

—Juściż czasem, rzekł Edward, są chwile.

—Doprawdy, nie rozumiem.

—Nigdyż ci na myśl nie przyszło, rzekł już wyraźniéj, żeby co przeczytać?

—Gdybym była w innym stanie, odpowiedziała dziewczynka, ale w moim —n. cóż to mi się zda?

—W każdym stanie, moja droga, im kto więcéj umie, pozna, tém lepiéj.

—Może to bydź prawda, obojętnie odezwała się dziewczynka

—Chciałbym, rzekł Edward, abyś czytała, będę 'ci dawał książki—wybiorę je sam, powoli poznasz z nich świat lepiéj, ludzi, Boga, wszystko.

—Bardzo dziękuję panu, bardzo dziękuję, ależ—

—Ale co?

—Ale tyle mówią złego o książkach, mówią—słyszałam.

—Są złe i dobre, ja sam ci je wybiorę.

—Jednakże, po chwilce dorzuciła Julka, książki pisane dla tych co już cóś umieją, ja nic nie umiem, to próżno będę czytała, pewnie ich nie zrozumiem.

—I na to jest sposób, rzekł młody opiekun, od łatwych przejdziesz kolejno do trudniejszych, od tych do trudniejszych jeszcze, trochę uwagi, a pojmiesz potém wszystko, byle byś chciała.

—Chęci mi nie zabraknie, ale wątpię czy co z tego będzie! A potém, ja muszę pracować, ja niémam czasu jak panowie i panie, co całe dni czytają tylko.

—Sprobuj jednakże.

—Kiedy pan każesz—

—Ja tylko proszę—Oto piérwsza książka, po niej dam inną.

Dziewczynka wzięła dość obojętnie, ukłoniła się i weszła do swojéj podziemnéj izdebki.

VII.

VII.

Z ciekawością, z niepokojem nieopisanym, Edward upatrywał postępów swojej wychowanki. Z początku były one bardzo powolne; czytała niejako z przymusu, z nakazu, póki nie chwyciła ją ciekawość, zapał, póki zrozumianych słów kilka, zwyciężoną trudnością nie uwiodły ją w dalszą drogę. Jakkolwiek Edward dobierał książek; nie mogły one bydź dla niéj zupełnie stosowne, ztąd nie raz gdy ich pojąć nie mogła, wytłumaczyć sobie nie umiała, traciła ochotę. Ale to były początki tylko; w miarę jak oswojona z językiem, z słowy, z myślami, wchodziła w świat pisany, tak różny od jéj

ulicznego świata, żądza poznania, dowiedzenia się, nauczenia ogarniała jéj duszę.

Razem znowu z postępem tym, rodził się w jéj piersiach smutek, tęsknota, niepokoj. Ucząc się więcéj, poznając, pojmując, zaczynała jakby brzydzić się sobą, jakby tęsknić za czém lepszém. Broniła ją wprawdzie pobożność, lecz dziewczynka nie mogła bez pomocy cudzéj, wznieść się tak wysoko duszą, aby w młodości pogardzić wszystkiem a niczego nie żałować.—Wzdychała mimo woli do Matki Bożéj, pytając czemu tak była biedną. Niedawno jeszcze ubogi kramik i licha izdebka, były dla niéj wielkiém szczęściem, teraz gorączka powolna trawić ją zaczynała, spoglądając na siebie, na otaczających których już nie rozumiała, którzy jéj nie pojmowali, a z którymi jednak żyć musiała.

Wszystko to rodziło się stopniami, powoli, jedno z drugiego—Edward nie postrzegał nic, prócz zadziwiającego wkrótce postępu dziewczyny.

Jak w samych początkach, oporem szła nauka, tak gdy próg tylko przestąpiła, poleciała, schwyciwszy nić, wiodła się nią szybko,

nie potrzebując objaśnień, połowę zgadując, połowy się domyślając, niektóre rzeczy zdając się sobie przypominać, jak gdyby je kiedyś wiedziała. Jest wiele umysłów, które jakby przypominają sobie tylko ucząc się; znak to usposobień wielkich po większej części. Powtarzamy, Edward upojony radością, coraz z rozmowy, z uwag, z prośb o nowe xiążki przekonywając się o postępach dziewczynki, nie uważał zmiany jéj humoru, pewnego smutku, który się codzień widoczniéj rozlewał po twarzy i wymykał ustami, pewnego niepokoju którego nawet pobożność zwyciężyć nie potrafiła. On szczęśliwy, że rozpromienił tę duszę, doznawał nieopisanych roskoszy, słysząc ją mówiącą teraz całe inaczéj, pojmującą inaczéj. Czuł się twórcą.

Każdą iskierkę, łapał w rozmowie, nosił w sercu, exaltując się i rojąc nadal więcéj a więcéj jeszcze. Podobny był w téj chwili podróżnemu, który naniosłszy gałęzi, długo ogień dmucha, a gdy rozpali go, cieszy się z płomieni, choć one jutro las cały pochłoną. Zaślepiony na wszystko swém szczęściem, młody nauczyciel goręcéj jeszcze przywiązywał się do uczeń-

nicy. Ze swej strony Julka, coraz śmielsza z nim i poufalsza, nie obawiała go się, a mimowolnie codzień go widując, coraz bardziéj ceniąc i serce i umysł, przywiązywała się do niego.

W téj chwili obojga ich ku sobie uczucie, nie było jeszcze namiętnością, nie było nawet gwałtownêm przywiązaniem, a miłości, owéj wielkiéj, choć może były już zarody, drobne jednak i niedojrzane. On widział ją piękną, ale myślał najgoręcéj o ukształceniu które przedsięwziął i z którego uczynił sobie rodzaj próby, interessującéj jego miłość własną— Ona widziała go dobrym, litościwym, ale miała go za zimnego. Czasem mimowoli przemyśliwała, jak to być może, żeby tak młody człowiek, nigdy jéj słówka nie powiedział *którego się obawiała* — i tłumaczyła to sobie swojém ubóstwem, poniżeniem, przypisywała sobie głupotę, poczynała niewierzyć piękności. Świat którego kątek ujrzała już czytając, świat wesoły, bogaty, strojny, nie raz oczy jéj ku sobie pociągał i serce. Myślała, gdybym na nim była — wszystkoby się znalazło, czego mi braknie — piękności dodałyby stroje, rozumu pię-

kność; w nędzy, w pracy, cóż się wydać może. Czuła jednak że cóś była warta, czuła jak wszyscy jéj podobni, że może tyle, może więcéj nawet warta była od innych.

Najlepszym dowodem złego wyboru środków ukształcenia, jakie obrał Edward, były ich skutki. Powiedzieliśmy już jak Julka w miarę postępu, traciła wesołość, swobodę, stawała się ponurą, zamyśloną, niespokojną, czuła się jakby nie na swojém miejscu. Wkrótce jéj życie i rodzaj życia brzydł coraz bardziéj; nudziło ją siedzenie z kramikiem, nudzili ją kupujący, nudziły przekupki, które się z niéj przedrwiwały; modlitwą tylko słodziła życie zatrute wiadomością złego i dobrego, wprzód spokojne i szczęśliwe o ile być mogło, teraz nieznośne. Powrót do dawnego był niepodobny, drzwi się za nią zamknęły na wieki — człowiek wszystkiego nauczyć się i dowiedzieć potrafi, tego co mu najmocniéj cięży, zapomniéć, nigdy. Jakiéjże to potrzeba uwagi w wyborze myśli któremi się żywim, kiedy raz wzięte, mogą nas na wieki nieszczęśliwymi uczynić, a pozbyć się ich potém niepodobna.

Edward jeszcze był ślepy, jeszcze innéj odmiany, prócz postępu nie widział, może też dziewczynka taiła przed nim myśli i uczucia swoje, wstydząc się ich trochę, przez dumę. Nie chciała dać poznać, że żądała czegoś więcéj nad to co miała. Czując się strutą i nieszczęśliwą Julka jednak nie odpychała trucizny, coraz to co innego dawał jéj czytać Edward, coraz to żwawiéj pożerała, a on tylko zdolnościom się dziwił. Tak rok i więcéj ubiegł, rok który zmienił przyszłość ich obojga, zarodami które zostawił po sobie. W istocie chłodny nawet widz, musiałby przyznać, że prosta dziewczynka, która ledwie czytała xiążki nabożne, cudownie postąpiła, gdy w końcu czytała i rozumiała wszystko, co zwykle najlepiéj wychowane czytają kobiéty. Edward już mógł z nią swobodnie rozmawiać, pewny był że go pojmie, nie wstrzymywał się jak dawniéj, nie pilnował ustawicznie, był sobą samym. Naówczas nie mogąc się dość nasycić, nacieszyć dziełem swojém, wymykał się z domu, uciekał od wszystkich, biegł do niéj, i wpatrując się w czarne oczy, które już zwykły mówić od duszy, bo dusza była, żyła i objawiała się; wy-

obrażał sobie że schwytał anioła lecącego nad ziemią i przytrzymał za skrzydła.

Kiedy piérwszy raz wylał się z myślami, i uczuł się zrozumianym, pojętym, kiedy piérwszy raz poznał z jéj odpowiedzi, że stali na jednym świecie — Edward uczuł nagle że kochał — Tak być musiało.

VIII.

VIII.

Nie powiedział jéj Edward co uczuł, a jednak, ona się domyśliła wszystkiego, zadrżała, posunęła rękę po czole i smutnie dumając została w swojéj izdebce.

Przebiegła myślą swój los, stanęła nad ostatnim rokiem, przejrzała go i pożałowała przeszłości, bo lękała się jutra. To uczucie którego się domyślała w Edwardzie, miłe jéj było, pochlebiało jéj, odpowiadało jakiemuś niepojętemu bojaźliwemu oczekiwaniu, a jednak jakby przeczuciem, zlękła się postrzegłszy je, domyśliwszy się go.

— Co będzie! co będzie! ty jedna wiész Matko Boża, zawołała, i ty odwróć złe od biédnéj

sieroty! Ach! pocóż on mnie poznał, a jam świat poznała i weszła tam, gdziem nie powinna była progu przestępować!

Duszno jéj było w izdebce, ciasno, wybiegła w ulicę, odetchnęła całemi piersiami, pochwyciła się za głowę.

— A ja? a ja? spytała siebie — kochamże go? Spójrzała w siebie.

— Gdyby mi przyszło nigdy go nie widzieć? Zdaje się żebym umarła! Edward to mój ojciec, świat, nauczyciel, dobroczyńca i anioł stróż! Ale niech on o tém nie wié, niech nigdy nie wié, że mi popsuł życie, i że ja go kocham! Moja miłość zatrułaby jego los cały, a wiedząc o nieszczęściu, wymawiałby je sobie. Nigdy wiedziéć nie będzie i nigdy!

W téj chwili tak się czuła znużoną, niespokojną, biédną, że zwróciwszy oczy w stronę Ostréj bramy, przypomniawszy ile razy w modlitwie znalazła pociechę, zwróciła się na światełko błyszczące przed Obrazem. Biegła nie szła, wsunęła się pod galerją na dawne miejsce i padła na kolana.

Chciała się modlić, nie mogła, dziwne, straszne, niepojęte myśli sunęły się po głowie roz-

żarzonéj jak senne widma, zaczynała i nie kończyła i zapominała o modlitwie. Postrzegłszy to rozpłakała się nad sobą.

— Także m zepsuta, zła, tak zajęta sobą i światem, że mi nawet ostatni ratunek nic pomódz nie może? I ty Matko Boża, odpychasz mnie! kiedy najwięcéj cudu mi Twego i opieki potrzeba; bo jakże mój stan i przyszłość pogodzić z tém, co się dzieje w duszy, co się gotuje przede mną! O! Matko Boża! daj mi wytrwać, daj mi wyjść z walki czystą, bez zgryzoty, nieszczęśliwą, ale niepokalaną! Daj mi wybrać raczéj cierpienie i cnotę, niż roskosz i występek. Matko Boża, Matko Boża, ześlij mi śmierć, gdy będę miała upaść!

Tak duszą modliła się dziewczyna, któréj modlitwy jéj dawne, na teraz wystarczyć nie mogły; znajdowała je zimnemi, często niezrozumiałemi, jak wszyscy, którzy chcąc się modlić szczérze, uciekają się do prawdziwéj, do jedynéj modlitwy, rozmyślanéj.

Klęczała długo, płakała, myślała; potém powolnie odeszła do domu, o sobie, o Edwardzie o przyszłości dumając, spokojniejsza już nieco, bo ufna w opiece Bożéj, do któréj jesz-

cze czysta, uciekała się z dziecinnych lat zapałem.

Nazajutrz po nocy bezsennéj, Julka nie poszła na miejsce swoje w Ostréj bramie, wstała i pobiegła odetchnąć za miastem. Edward niespokojny, nie zastawszy jéj, tam, gdzie codzień spotykał, pobiegł do mieszkania, do którego próżno kołatał, drzwi były zamknięte. Tysiąc myśli przeleciało mu najstraszniejszych po głowie, tysiąc razem niebezpieczeństw ujrzał, których nigdy nie widział dotąd, poleciał jak szalony, nie wiedząc co począć z sobą. W godzinę znowu przebiegał tęż ulicę, pukał do tych drzwi, a nikogo nie było, nikt nie odpowiedział. Niespokojność, domysły rosły olbrzymio, podobny szalonemu, nie umiejąc sobie poradzić, stał jak słup naprzeciw mieszkania Julki, lub latał nie wiedząc dokąd, jak opętany.

Spotkał ją gdy wracała do domu; a cały uradowany, przejęty, poskoczył nie patrząc co czyni.

—Na Boga! gdzieżeś była! zawołał, oto już dwie godziny jak szaleję, latam i ledwie z niespokojności nie zwarjuję! Co ci się stało!

—Nic mi się nie stało, odpowiedziała Julka miarkując uczucie, które ją przejęło na widok zapału Edwarda — czułam się chorą i poszłam przejść się za miasto.

— Ależ mnie ciężką nawiedziłaś godziną! To mówiąc otrząsnął się i odetchnąwszy, spokojniejszy, pojąwszy że nie może z nią rozmawiać w ulicy, pożegnał i uciekł.

Niespokojność ta objaśniła Edwarda o własnych uczuciach, które wprzód pojmując sam taił przed sobą. Teraz niejako uczynił sobie wyznanie, za którém naturalnie poszło zastanowienie nad przyszłością.

—Kocham ją, rzekł w sobie — tak jest — ale cóż z tego będzie? Mogęż się z nią połączyć? mogęż jéj poświęcić świat, jego wymagania, jego prawa, krewnych, rodzinę, wszystko? kochaż mnie ona? Jeśli kocha, co za przyszłość? jaki koniec?

Na pytania nie umiał dać odpowiedzi, lecz jak zwykle w takich razach, chwilkę zastanowiwszy się nad skutkami, nie mogąc ich wyrachować, wrócił do użycia teraźniejszości, do bezmyślnego nasycenia się swojém uczuciem, które jakkolwiek grożące na dal, roskoszne by-

ło samo w sobie. Jakże to mało jest ludzi tak wielkiego, bohaterskiego charakteru, coby przed poczynającą się namiętnością, przed jéj urokami, na widok przyszłości groźnéj swojéj lub cudzéj, cofnęli się? Najczęściéj człowiek kiedy sumienia swego zaspokoić nie umie, rozbrat z niém czyni i rzuca się ślepo w ręce losu, myśląc że przecież, jakiś koniec wszystkiemu być musi.

Tak właśnie uczynił Edward, a wiedział sam że źle robił, ale był słabym. W istocie stworzyć duszę do swéj duszy, rozwinąć ją, ukształcić w swych ręku, a potém gdy kwitnie, gdy w całym blasku jaśnieje, ustąpić, porzucić, wyrzec się swego tworu?— Któżby miał siłę na taką ofiarę? Chciał przynajmniéj wykréślić sobie dalszą postępowania drogę, choćby oczy na jéj cel i koniec zamrużyć, ale i tego nie potrafił, tak się w nim wszystko burzyło, tak gorzał cały spodziewaném szczęściem, spodziewaną miłością, miłością niezwyczajną. Zamiast zastanawiać się nad sobą i nią, on marzył i zgadywał rozmowy wieczorne, oświadczenie, odpowiedź, wielkie owe epochy historij namiętności, którą czynił sobie długą, zapalczywą, roskoszną.

Z myśli w myśl wpadając, uczuł, że Julka która już nie jest tém, czém była przed rokiem, powinna mieszkanie i zajęcia odmienić. Przewidywał jednak, że trudno ją będzie do tego nakłonić, bo nie wiedział, jak ona sama znudzona i udręczona była swém życiem. — Umié roboty, będzie się z nich utrzymywać na oko — mówił w sobie — w istocie ja ją utrzymywać będę, to mój obowiązek teraz. Najmę jéj skromne, ubogie mieszkanie, ale takie w którémby przynajmniéj żyć można, oddychać powietrzem i widzieć choć nieba kawałek. Musi na to przystać!

Z temi nowemi myślami wieczorem znowu sunął się ulicą, mimo jéj mieszkania, mimo Ostréj-bramy. Nigdzie nie postrzegł Julki, zmierzchało, obejrzawszy się wszedł do niéj. Ona była u siebie. Gdy drzwi otworzył, obejrzała się, ale nie zadziwiła postrzegłszy go.

— Przyszedłem dowiedzieć się o twoje zdrowie.

— O! ja już jestem zupełnie zdrowa! odpowiedziała z udaną wesołością.

— Wiem teraz od czego byłaś chora, mówił daléj Edward, tysiąc razy przewidywałem, że

to niezdrowe, obrzydłe mieszkanie szkodzić ci musi. Jabym tu więźnia nie zamknął.

— Ubodzy, rzekła Julka, i zdrowie mają twardsze i cierpliwość z konieczności. Mnie tu dobrze.

— To być nie może, odpowiedział żywo Edward — ty sobie wmawiasz, oszukujesz siebie, ja ci tu dłużéj mieszkać nie pozwolę.

Julka obróciła się zdumiona.

— Dla czego?

— Jakże młodemu żyć można, bez powietrza, słońca i widoku świata i nieba?

— A kiedy musi?

— Niéma w tem musu dla ciebie.

— Jakże to pan wiész?

— Jutro ci dam inne mieszkanie.

— Czekaj pan, przerwała Julka, Pan mi możesz chcieć dać wiele, ale ja przyjąć czy mogę?

— Teraz ja spytam, dla czego?

— Pan nie wiész, co to jest wdzięczność i obowiązek, jakie to brzemię, kiedy tego długu niéma czém wypłacić. I tak już za wiele winnam.

— Ty mnie? chyba ja tobie! Gdybyś wiedziała, jak czyniąc to byłem szczęśliwy!

Dziewczynka zamilkła, on mówił dalej.

— Ale słuchaj mojego projektu. Ten handel mało korzystny a poniżający, wystawujący na wszystkie przykrości jakie są zwykle skutkiem obcowania z klassą najniższą.

— Do którój i ja należę, przerwała Julka.

— To fałsz zupełny, sama czujesz że nie, odpowiedział młody opiekun. Ani twoje zdrowie, ani twoja młodość nie wytrwa niepokalana, nietknięta, niezwiędła w takiém życiu. Ja nie odwodzę cię od pracy, owszem, podaję ci tylko inną, umiész roboty, z nich łatwo się utrzymasz. Mała para pokoików, które ci najmę niewiele będzie kosztować, wybiorę je ustronne, ciche, spokojne, daleko od oczów ludzi.

— Ale na cóż to wszystko? z biciem serca odpowiedziała Julka, nie umiejąc opiérać się mimo chęci, bo serce jéj skakało do swobodniejszego życia — Na co to wszystko, kiedy mnie i tak dobrze?

— A tak będzie lepiéj, i sto razy lepiéj, rzekł Edward. Pozwól mi się w to wdać jako opiekunowi, który cię jeszcze przecie ni razu nie zdradził.

To mówiąc wziął ją za rękę: dziewczyna by-

ła pomięszana, ćmiło się biednéj w oczach, serce biło gwałtownie.

— Więc zgoda? spytał.

— O! ja sama nie wiém.

— Spuść się na mnie, ja ci źle nie życzę. To jest jaskinia nie mieszkanie, niepoczciwy sklep wilgotny, który ci zdrowie odejmie, w dzień trzeba świécy, żeby co zobaczyć! No, zgoda?

— Panie, jam ci tyle winna.

— A! nie mówże o tém. Jutro najmę zaraz mieszkanie, nie idź więcéj do Ostréj-bramy. Przedaj swój kramik. Zobaczysz tak lepiéj będzie! O! zobaczysz! Jutro, jutro jeszcze przed wieczorem urządzę ci gospodarstwo! to ostatnia noc w tym nieznośnym sklepie.

I tak mówiąc chodził niespokojny, zapalony, a Julka patrząc z pod oka na niego ukradkiem, stała u swojego łóżka w milczeniu.

— Ja nie wiem, dodał, jak ja ci mogłem tak długo pozwolić tu mieszkać.

— Boś mnie nie kochał, pomyślała w duchu Julka, która wszystko co się działo w jego duszy, na twarzy czytała.

IX.

IX.

Rano bardzo Edward był na nogach, ubrał się w długi surdut, wziął kapelusz i laskę, pieniądze do kieszeni, poszedł szukać mieszkania dla Julki. Już w myśli je widział, już w marzeniach je stroił, już całą przyszłość tego mieszkania i swoją odmalował był sobie.

Ale gdy przyszło pogodzić rzeczywistość z marzeniami, wiele zaszło jak zwyczajnie trudności. Jedne izdebki były za ciasne, drugie nadto obszerne, te zbyt na ulicę, tamte na brzydkie dziedzińce, w jednych nie podobała mu się fizjonomja prozaiczna, od drugich jakiś ślad przeszłych mieszkańców pozostały, odrażał. On chciał koniecznie tego, co roił, czystej, pięknej izdebki, z oknami na pola, na łęgi,

na rzeki, nie na brudne miasto, sąsiadów pewnych, uczciwych nie ciekawych i tysiąc jeszcze dokładał warunków, którym dogodzić razem było trudno.

Nic gorszego, jak kiedy człowiek ma doczynienia z imaginacją swoją i uroi sobie, marzenia urzeczywiścić; walczy wówczas jak senny, któremu śni się, że go zabijają, a ruszyć się nie może.

Do południa chodził, szukał, patrzał, przebierał Edward, żadne z mieszkań które widział, nie podobało mu się. Przeszedł tym sposobem większe i pomniejsze ulice miasta, prócz tych, których powierzchowność odstręczająca, nie dozwala myśléć nawet, aby tam podobne mieszkanie znaleść się mogło.

Znużony z niczém powrócił do siebie, a chwilkę tylko odpocząwszy, udał się jeszcze na przedmieściach szukać owej urojonéj izdebki. Poszedł na Antokol; tam nie było prawie mieszkań, lecz żyd, który mu służył za przewodnika, znalazł przecie jedno, w mizernym starym domku nad samą Wilją, ocienionym do koła gęstemi drzewy, a tak ukrytym, że go z żadnéj strony widzieć nie było można; ścieżka nawet ma-

ło udeptana która do niego wiodła, nie bardzo zdradzała mieszkanie człowieka, zdało się że ją bydło błąkające się nad brzegami wydeptało. Widok domku, mile uprzedził Edwarda, było w nim cóś tajemniczego, wdzięcznego, malowniczego, poetycznego. Podobali się sąsiedzi, dwoje staruszków, więcéj nie było żadnego mieszkańca. Wprowadzono go do pokoików które wynająć chciano. Nizkie, były dosć ciemne, ale czyste, sprzęty stare, ale któż nie woli starych? podłoga nierówna, ale wymyta, ściany obielone, okienka zacienione drzewami.

O cenę nie mówił Edward i w pięć minut najął mieszkanie. Chcąc przedłużyć myśl o swojém szczęściu, nadzieję, za rok zapłacił z góry. Pobiegł potém z wiadomością do Julki.

— Ostatni raz, rzekł wpadając do sklepiku, ostatni raz tu się widziémy, już masz nowe mieszkanie, takie jakiego żądać mogłaś, dalekie, ustronne, ciche, wiejskie, wśród drzew.

— Tak prędko! już! już! rzekła dziewczyna udając obojętność — I gdzież?

— Na Antokolu.

— Ach! tak daleko od Ostréj-bramy!

— Bodajże mnie, rzekł Edward uderzając się

w czoło, wszak w wyborze mieszkania o tém zapomniałem. Cóż kiedy całe miasto przetrząsłem, a żadnego dla ciebie stosownego nie znalazłem.

— Ach panie! sam chodziłeś?

— I cóż dziwnego? spytał Edward, była to tylko przechadzka. Oto masz nazwisko gospodarza i domu, bierz dorożkę, zabieraj rzeczy, ruszaj, wieczorem będę u ciebie! Musim pogadać o tém, czego ci jeszcze braknie, muszę postarać się o resztę — Może ci z początku nim się oswoisz będzie dziwnie mieszkać tak daleko od ludzi, od miasta; ale potém uczujesz roskosz wioski! Bo tam prawdziwa wieś, można zapomnieć że tuż blisko rusza się w błocie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. No, jedź!

— Nie mogę, rzekła Julka smutnie — wprzód jeszcze.

— Braknie ci czego, powiedz tylko?

— Muszę pójść pożegnać opiekunkę u Ostréj-bramy.

Te słowa smutnie wymówiła Julka, miała łzy w oczach. O mocy nałogu! źle jéj tu było, smutno, ciasno, ciemno, nie jedno więzienie bywa weselsze, żałowała jednak swego

mieszkania i swojéj przeszłości, tam gdzie lat kilka przecierpiał człowiek, już wrósł częścią swojego serca, przykleił się duszą — już trudno mu się oderwać, żal mu pamiątkę życia porzucać. Nawet w odmianie na lepsze, jest zawsze tęsknota przy zmianie miejsca, bo przyszłość — zagadka, a przeszłość to część nas samych. Nie dziw też, że Julka, boleśnie prawie rozstawała się z swoim smutnym sklepikiem, a łzami gorzkiemi zalała się ukląkłszy pod Ostrąbramą. Długo tam, długo klęczała, myślała, modliła się, dumała. Rzuciwszy raz ostatni okiem, na miejsce, w którém lat kilka siadywała codziennie, które widziało ją ubogą, opuszczoną, potém wspomożoną i całe dziś zmienioną; odeszła powolnie. W tém miejscu żegnała się z życiem swojém dawném, czując że całkiem nowe ją czekało, nie wiedząc jakie będzie. Ono się już ukazywało z daleka, ale straszne choć słodkie, niebezpieczne, niepojęte, a końca nie było widać, ginęło we mgłach.

— Matko Boża i opiekunko, w duchu raz jeszcze odwracając się, zawołała dziewczynka — strzeż mnie sieroty, jakeś dotąd strzegła! Lę-

kam się siebie i przyszłości, jego i wszystkiego: Matko Boża, tyś matka sieroty.

I szła i odwracała się, póki widziała Obraz za sobą, a nie ocierając łez, potém, zwinąwszy nie wielki węzełek, pojechała do nowego swego mieszkania.

Nie potrzebujem mówić jak się jéj wydało, pałacem, rajem! Z okna widać było niebo, drzewa, zieloność, słyszała ptaszki, czystém oddychała powietrzem. Z drugiéj izdebki, wyglądał brzeg Wilij, woda i dalekie siniejące wzgórza, w pół tylko widne, za drzew gałęźmi. Niepodobna też było nie uczuć jakiéjś tęsknéj swobody, jak gdyby świat zapomniał o tém ustroniu i o nie się nie troszczył i nie patrzał na nie; nie było tu niespokojnych oczu, szpiegujących za twémi kroki, ani tego ruchu ustawicznego, wrzawliwego, nieznośnego, który nieprzywykłym głowę zawraca. Julka opatrzyła wszystkie kątki, rozłożyła w drugiéj izdebce wszystko co miała, usłała swoje dziewicze łóżeczko, zawiesiła nad niém Obrazek swéj Opiekunki, potém klękła i pomodliła się z bijącém sercem, aby nie wiele łez wylać w nowém mieszkaniu. I znowu opatrywała oba po-

koiki, otwierała okna, probowała drzwi, ustawiała krzesła, ścierała stoliki, siadała na kanapach; — biła się jak ptaszek w nowéj klatce.

Już się zmierzchało, kiedy nadszedł Edward, niósł on z sobą, co mógł tylko zabrać do ozdobienia swego raju. Pełne miał kieszenie i chustki drobnych sprzęcików, których potrzeby dotąd nie znała Julka, które dla niéj miały powab zbytku i wdzięk nowości.

— No! na progu jeszcze zaczął Edward, jakże ci się tu podobało?

— A! prześlicznie, wybornie, odezwała się dziewczynka, już nigdzie na świecie wyborniéj, miléj być nie może — Jednakże, co powiesz pan na to, żem płakała wychodząc z mego sklepiku, gorzko płakałam.

— Pojmuję i nie dziwię się, odpowiedział z westchnieniem młody człowiek, siedziałem raz w więzieniu, a wychodząc oglądałem się z żalem na jego okna — bom w niém przeżył część życia. Człowiek nie mieszkania, ale życia ubiegłego żałuje.

— Cożeś to pan poprzynosił? spytała przestraszona prawie Julka na widok wypchanych kieszeni i pełnych dwuch chustek, które Ed-

ward kładł ostrożnie na kanapie. Ach Boże, pewnie nowe dary, a i tych za wiele!

Tylko mi pozwól pogospodarować, odpowiedział pełen zajęcia i zapału opiekun. Są to fraszki, ale fraszki czasem lepiéj od wielkich rzeczy, słodzą życie i wdzięczą— Człowiek się do nich przywiązuje jak do przyjaciół, patrzy na nie z większém czasem niż na obojętnych ludzi uczuciem. To mówiąc dostał naprzód zégarek, któren postawił na kominku.

— Cóż to kosztować musi! mimowolnie zakrzyknęła Julka.

— To do ciebie nie należy! Daj pokój, jeśli mi nie chcesz zrobić przykrości. Zégarek pokaże ci godziny, bez niego trudno się obejść, miło na niego spójrzeć, często ostrzega jak przyjaciel, czasem cóś przypomina.

—To, mówił dalej, kilka obrazków na ściany; to, lusterko, resztę sama sobie zobaczysz i poustawiasz— Jutro przywiozę ci kwiatki na okna, pieska, żeby ci służył i pilnował ciebie, inne wreście potrzebne sprzęty, których nie miałaś, a bez których teraz obejść się nie możesz.

—Ach! mogę, mogę, zawołała Julka, i wolę się obejść, bo mnie przestraszasz tyle czyniąc dla mnie!

— Przestraszam! rzekł Edward, — znowu ci więc wracają dawne strachy!

— Prawie, szepnęła dziewczyna.

— Jeszczeż mnie nie znasz? z wyrzutem spytał. Ona milczała i westchnęła tylko nieznacznie; Edward nie pytał więcéj, chcąc rozerwać dziewczynę, zaczął z nią obchodzić wszystkie kąty, ustawiać co mieli, wymyślać czego była potrzeba. Tak w słodkich marzeniach upłynął wieczór, późno bardzo wyrwał się Edward i powrócił do domu.

X.

X.

Ażeby uspokoić swoje sumienie, które jéj wyrzucało że Edwardowi była ciężarem, nazajutrz raniuchno, siadła Julka do roboty, snując w myśli projekta na przyszłość, zyski jakie jéj praca dać miała. Zdawało jéj się, że opłaci łatwo mieszkanie, i inne życia potrzeby bez pomocy swego opiekuna, którego codzień bardziéj lękała się, bo codzień więcéj mu czuła się winną i codzień widziała go wyraźniéj, namiętniéj przywiązującym się. Stale postanowiła sobie udawać, że się nie poznaje na jego uczuciach i okazywać dziecięcą obojętność. Pojmowała bowiem, że gdyby Edward wiedział jak go kochała, jak codzień rosła w jéj piersiach namię-

tność; powiększyłoby się jeszcze jego przywiązanie, któremu końca i skutków dobrych nie spodziewała się.

— Źle to, mówiła sama w sobie, że od niego tyle przyjmuję, daję mu prawa nad sobą; źle że go widuję codzień, on więcéj kocha, ja coraz słabszą się czuję — przyszłość okropna! Ale cóż było zrobić? on mi popsuł, wprzód wystarczające dla mnie życie, on miał obowiązek może osłodzić teraźniejsze. Chciał mnie do siebie przybliżyć, oderwał od tych z którymi wprzód żyłam, uczynił nieszczęśliwą, niech osłodzi choć kilka chwil. Powinnam była nic nie przyjąć, uciec, oddalić się piérwszéj godziny kiedym poznała że mnie kocha — nie miałam siły; — teraz może zapóźno — a może?— Kto wié co tam w przyszłości? Ach! nie, to długo potrwać nie może, to się musi skończyć, przyjdą burze po pogodzie! Straszno myśléć o tém! Nie będę myślała — Jak przyjdzie złe, dość czasu zostanie rozmyślać nad niém i znosić. Matka Boża nade mną.

Julka pojmowała doskonale swoje położenie, jego niebezpieczeństwa; lecz z jednéj strony rachowała na uczciwość Edwarda, z drugiéj

na mocne postanowienie oddalenia się w piérwszéj chwili gwałtowniejszego wybuchu namiętności, objawienia się jéj wyraźnego; gdyż dotąd Edward nie śmiał powiedzieć Julce że ją kochał. Wprawdzie było to bardzo wyraźne; lecz chcąc koniecznie, można się było jeszcze z biédy niewiadomością tłumaczyć. — Tak więc niepewna jutra, żądna swobodniejszego życia, które poczynała i które jéj smakowało, dziewczynka lękała się jutra i nie śmiała więcéj oczu podnieść na przyszłość, którą wystawiała sobie zawsze straszliwą. Piérwszy dzień przepędzony w téj izdebce ustronnéj, był bardzo roskoszny, mimo przelatujących po nim myśli czarnych, snujących się jak chmurki napędzane wiatrami po niebie. Julka gwałtem się im oganiała, chcąc korzystać z szczęścia, któremu na jutro nie wiele wierzyła. Jak dziécię przetrząsała darowane wczoraj sprzęciki, bawiła się niémi, nasycała, poiła, probowała ich użytku, przypatrywała się ozdobnéj powierzchowności. Edward zachwycił ją przy tém zatrudnieniu jeszcze; niósł on i za nim dorożkarz kwiaty z wazonami na okna. Za nim wbiegł piesek także, obiecany wczoraj.

Julce serce biło z radości, głowa od szczęścia bolała.

— Ach to za wiele na raz! zawołała do Edwarda, trzeba było swoje dary rozdzielić na części; dłużéj by mi trwała uciecha, potém się z niemi oswoję i stracą dla mnie powab nowości jaki dziś mają.

— Naówczas, odpowiedział Edward, znajdę coś nowego.

— Proszę, błagam, przerwała Julka, już nic więcéj, już nigdy! Chyba chcesz pan mnie biédną uczynić. Ja i tak płaczę myśląc, że pan tyle tracisz dla mnie, tyle czynisz dla siéroty!

Niepozwolił jéj dłużéj mówić Edward i pokazał pieska.

— Zostaniesz tu Milutki, zostaniesz! to twoja pani!

Pies się łasił i skakał.

— Co za śliczne stworzeńko! biorąc na ręce odezwała się Julka. Zaręczam że mu u mnie dobrze będzie, będę go pieścić — będę się z nim bawić.

— Oprócz zabawy, będziesz jeszcze inną miała korzyść z niego; sama jedna mieszkasz

w miejscu bardzo ustronném, Milutki jest niezmiernie czujny i zły dla obcych, ostrzeże cię i nikogo nie dopuści.

— Podobno tego od niego potrzebować nie będę, zawołała Julka, złodzieje tu nie przyjdą, bo niéma po co, a z resztą nikt nie zajrzy.

Edward usiadł i milcząc wpatrywał się w Julkę, która zarumieniona lekko, promienna ukontentowaniem, wydawała się w swéj skromnéj ciemnéj sukience i różowéj chusteczce na ramionach, piękniejszą niż kiedykolwiek. Czarne jéj włosy uczesane gładko i zapięte w warkoczu, odbijały cudnie od zawsze prawie bladéj twarzyczki, którą chyba przelotne wzruszenie słabo na chwilę zarumieniało. Zgrabna wcięta kibić przechylała się jak trzcina z wiatrem; w każdym ruchu, każdém drgnieniu prawie był wdzięk nieopisany; a tém bardziéj zadziwiający, tém cenniéjszy, że widocznie nie wyrachowany, nie wymuszony, nie nauczony, lecz instynktowy, naturalny, a jednak nieodstępujący jéj nigdy.

Sama twarz przy swéj bladości przezroczystéj, oswiecona czarnemi oczyma, przecięta ustami drobnemi i kształtnemi, miała w sobie

coś tak niepospolitego, charakterystycznego, iż obojętny nawet człowiek, byłby sobie namiętność Edwarda wytłumaczył. Cóż dopiéro gdy piękne te rysy ożywiały się w rozmowie, gdy oczy migały tysiącem wyrazów coraz odmiennych, a zawsze zachwycających, gdy usta to się podnosiły uśmiéchem, to zniżały smutnie i zamykały; gdy uczucia i myśli przelatując po pięknych kształtach, piękniejszemi je jeszcze ożywiając czyniły? Każdy inny w położeniu Edwarda, byłby uległ urokowi czarodziejskiemu téj twarzy, któréj podobną, ujrzaną przypadkiem, chwilowo, całe się życie pamięta.

W milczeniu nasycał się wdziękiem Julki, młody jéj opiekun, podparty na ręku, zamyslony, marzył patrząc na nią. On także odepchnął wszystkie myśli jutra, a żył tylko dniem dzisiejszym.

— Czegożeś pan tak smutny? spytała spójrzawszy dziewczynka.

— Smutny?

— Tak mi się zdaje przynajmniej — a jeśli nie, to zamyslony.

— To prawda; patrząc na ciebie zadumałem się.

—Nie pytam o czém, przerwała Julka, możem panu przypomniała kogo.

— Kogo? podchwycił Edward — cóż to znaczy?

—Pomyliłam się, zawołała dziewczynka, chciałam 'powiedzieć, że pan przypomniałeś sobie kogoś zapewne.

— Masz mnie więc za jednego z tych, którzy gdzieindziéj umieją bydź oczami, a gdzieindziéj duszą?

—Każdy to umie, mniéj więcéj.

—Ja nie umiem, rzekł Edward, nie potrafiłbym na kogo innego patrzéć, a o kim innym myśléć.

— O mnie przynajmniej, odpowiedziała Julka, nie masz już ani obowiązku, ani potrzeby mysléć więcéj, uczyniwszy tyle dla mnie!

—Proszę cię, nigdy o tém nie wspominaj, zawstydzasz mnie tylko!

Julka zamilkła, rada że 'rozmowa nie zatoczyła się na niebezpieczną stronę, na którą już się zdawała pochylać. Edward zamyślił się znowu; nie smiejąc mówić o tém co czuł, myślał przynajmniéj, a to tak nieustannie i tak głęboko, że prawie pół godziny upłynęło, a on

ani się słowa nie odezwał, zawsze w jednem położeniu, sparty, z oczyma wlepionemi w Julkę, przesiedziawszy. Pod płomienistym jego wzrokiem, jak pod słońcem w spiekę siedząc, biedna dziewczyna, nie śmiała przerywać milczenia, rumieniła zię tylko, kręciła, psuła swoją robotę; a gdy Edward porwawszy za kapelusz wybiegł, odetchnęła dopiéro swobodniéj.

XI.

XI.

— Miłość moja wzmaga się, mówił do siebie Edward uciekając z domku i biegnąc szybko ulicą do miasta; codzień przywiązuję się więcéj; nie szukam na to lekarstwa, nie probuję środków, gubię siebie i ją zatopiwszy się w teraźniejszości. Jedno z dwojga, albo trzeba skończyć, albo rozerwać! Ale jak skończyć? Kto wie czy ona mnie kocha, nigdym nie dostrzegł nic prócz suchéj wdzięczności dziecinnéj — a jeśli ona nie czuje dla mnie tego co ja dla niéj? Wpadłem w nierozwikłane trudności, przez jeden krok nieostróżny. Co począć? co począć teraz? Jak się to wszystko skończy?

Porzucić ją? niepodobna. Cóż ona pocznie z sobą? przywykła już do innego świata, innéj rozmowy, obejścia, jakże potrafi wytrzymać spadając znowu w życie z którego wyszła i zostawiła za sobą? Nie, nie mogę jéj porzucić! Mogęż, drugie pytanie, zwyciężyć siebie? Ach! i to nie— niepodobna—gdybym tylko codzień ją widział, gdybym codzień mógł się wpatrywać w jéj oczy, zdaje mi się żeby mi tego dość było. Ale trzeba żebym wiedział, czy mnie kocha! Cóż jeśli tak jest? jeśli się przyzna? jeśli z ust jéj wywabię wyznanie! Będęż mógł zimno patrzeć na miłość, którą sam wyprosiłem, stworzyłem i kazać się jéj kontentować przyjacielskiém, zimném, na wodzy trzymaném widywaniem z sobą kiedy niekiedy? Niewiedzieć co począć? Tak jak jest bydź dłużéj nie może, musi się rozstrzygnąć. A gdybym się z nią ożenił? pomyślał raz piérwszy Edward i zaraz odpowiedział sobie— I to bydź nie może. Jeszcze jéj dość nie kochał; jeszcze nie dość był rozjątrzony, aby pobudzić w sobie odwagę, do tak stanowczego kroku.

—Jutro, rzekł nareście, pójdę i powiem

jéj, że ją kocham, jutro zobaczę co mam daléj czynić!

Tak powiedziawszy sobie, Edward powrócił do mieszkania i gotował się tylko na wielkie jutro, o którém myśl sama sprawiała w nim bicie serca i krwi wrzenie. Nadeszło jutro, Edward poszedł z rana, bawił godzinę całą i nic nie powiedział. Uwierzycież, że się nie odważył.

—Wieczorem, rzekł odchodząc, będę śmielszy, wieczorem jéj powiem.

Powrócił wieczorem. Julkę zastał w oknie izdebki, spoglądającą przez ogródek na Wilją, zadumaną i dość smutną. Ona także, myślała o swojéj przyszłości, o nim, niepojęte jakieś strachy ogarniały ją, jak każdego, kto się czuje szczęśliwy, a lęka o swoje szczęście. Usłyszawszy chód, odwróciła się, poznała go.

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór.

Zamilkli, on nie wiedział od czego począć, ona bała się mówić, niewiedzieć czego jeszcze zmrok padający szybko więcéj ją czynił nie smiałą i niespokojną.

Edward usiadł na kanapie naprzeciw niéj,

darł chustkę w ręku, spoglądał, zaczynał, urywał. Z tego Julka już się domyśliła ważności rozmowy, którą miał począć, drżała przeczuwając cóś niezwyczajnego.

— Jest że ci zawsze tutaj tak dobrze jeszcze jak pierwszych dni? spytał.

— Coraz lepiéj, coraz miléj, odpowiedziała, oswajam się z miejscem, kocham je coraz bardziéj, i nie żałuję miasta. We środę i w sobotę chodzę do mojéj patronki na mszą, a resztę tygodnia rada jestem, że nudnego miasta nie widzę i nie słyszę.

— Cieszę się żem potrafił przeczuć, iż ci tu dobrze będzie, rzekł Edward — miasto może bawić godzinę, może niewiele się przykrzeć przyzwyczajonemu, może wspomnieniami zajmować, gdy je widzim po długich rozłączenia latach; ale niepodobna jednak usuwając się od zgiełku, nie uczuć się swobodniejszym.

— Ja też teraz nie tylko go nie żałuję, powiedziała Julka, ale w ostatniéj chyba konieczności wróciła bym do niego nazad. Tu tak spokojnie, tak miło! Ile razy chcę, mam przechadzkę której nikt nie przerywa, samotną a piękną! Gdybym nawet chciała zgiełku, dość

mi wybiedz na antokolską drogę, żeby się nim nasycić.

— Więc nic ci nie braknie? więc jesteś szczęśliwa? spytał Edward — i niczego więcéj nie żądasz? Wymówił to wyraziście, tak iż na chwilę Julka się wstrzymała z odpowiedzią.

— Jestem szczęśliwa i niczego nie żądam więcéj, tylko, tylko —

— A! masz więc jeszcze niespłacone życzenie!

— Jedno.

— Jakie?

— Żeby się to życie tak miłe, swobodne, nie zachmurzyło, nie przerwało, więcéj nie żądam niczego. Możebym nawet z wielu jeszcze drobnych przyjemności ustąpiła, byle się przy główném utrzymać?

— A nigdyż nie przychodzi ci na myśl, że mogłabyś bydź jeszcze szczęśliwszą?

— Ja? a to jak? spytała udając doskonale że nic nie pojmuje o co chodzi. Dla mnie niéma już we śnie nawet większego szczęścia.

— Nigdyżeś, rzekł Edward coraz bardziéj sam się mięszając, nigdyżeś nie wspomniała, na to uczucie, na miłość, która w życiu kobié-

ty, tak jest konieczną potrzebą, warunkiem szczęścia.

— A! rozumiem, zawsze obojętnie odezwała się Julka, pan już wyobrażasz sobie kobiety tak złemi, tak zepsutemi—czyliż uczucie przyjaźni, wdzięczności, nie może zaspokoić? czyliż nie dość przyjaciela jakim pan jesteś dla mnie, i mogłażbym myśleć o kochanku? A potém—dodała, ta miłość którą pan wystawiasz, jako potrzebę życia, ja ją widzę jako robaka który życie toczy. Od niéj zaczynają się zgryzoty, udręczenia, niepokoje, od niéj schnie serce, więdnieje ciało, tęsknieje dusza, upadają siły. Za chwilkę może zapału, szaleństwa, trzeba potém lata pokutować! Na co mi ta miłość, czytałam o niéj, a trochem i widziała po świecie, jaki jéj koniec bywa.

Tą mową, któréj Julka potrafiła nadać akcent prawdziwości, przekonania, tak zdumiał się i pomięszał Edward, niespodziewający się podobnego zaparcia przyszłości, że daléj już nie miał odwagi wyrzec tego z czém przyszedł.

— Znać, odpowiedział cicho i smutnie, że jeszcze na ciebie pora nie przyszła.

— Jak to? spytała Julka.

—Bo naówczas kobieta i mężczyzna równo, nie mają już téj chłodnej krwi, przytomności i rozwagi. Potrzeba miłości, konieczność, tak się mocno czuć daje iż im przyszłość zakrywa. Rzucają się na oślep, bo nie mają siły do odparcia.

—Alboż koniecznie wszystkich to czeka? spytała ona—są przecie ludzie, którzy nie przypuszczając myśli, podobieństwa tego uczucia, oddalili je od siebie.

—Masz je więc za rzecz dającą się odwrócić?

—Nie tylko odwrócić i uniknąć, ale gdy przychodzi zwyciężyć!

—Nigdy!

—Zawsze! odpowiedziała Julka zimno i rozważnie, a choć co innego czuła w sobie, widziała konieczność, potrzebę pokazania się zimną przed Edwardem, dla oddalenia go od siebie, a przynajmniej usunienia końca tego, którego się nie bez przyczyny obawiała. Zawsze można zwyciężyć, powtórzyła ja tak myślę—można przemódz miłość uczuciem obowiązków, pobożnością i ciągłém czuwaniem nad sobą.

—Lecz zkądże, przerwał Edward, możesz

o tém mówić z taką pewnością, z takiem przekonaniem, zastanawiałaś że się nad tém, myślałaś o tém?

— Czytając, odpowiedziała Julka—osobliwie ostatnie książki, które miałam od pana, przyszło mi to na myśl, z wielkiego jednego i świętego przykładu, który mnie przekonał i nauczył, że i to uczucie zwyciężyć można.

— Z jakiego przykładu?

— Z historij naszéj Jadwigi. Pan wiesz dodała Julka, jak kochała niewartego przywiązania jakiegoś tam książęcia, z którym się wychowała; przypominasz jak szalała za nim, jak nie mogła z początku znieść myśli oddalenia, rozerwania związków: a jednak gdy jéj wystawiono potrzebę innego małżeństwa, gdy pokazano że ofiarą saméj siebie kupowała krajowi spokój, a religij miljony ludu—potrafiła się zwyciężyć.

— Ale nie piszą, rzekł Edward z uśmiechem, ile ją ta ofiara łez kosztowała.

— W takim razie łzy się nie liczą, odezwała się Julka, chodzi o zwycięztwo, a jak po bitwie wygranej cieszą się nie rachując poległych, tak tu łez i cierpień wspominać nie trzeba.

— A gdyby, mówił daléj niespokojny oziębłością dziewczyny opiekun, a gdyby kiedy to uczucie zajrzało do ciebie — miałażbyś siłę i odwagę z niém walczyć?

— Niezawodnie, odpowiedziała—niespodziewam się jednak tego na mnie *nieszczęścia* (to słowo wymówiła z przyciskiem), nie czuję żebym inaczéj kochać nawet potrafiła, jak przyjaźnią, szacunkiem, wdzięcznością—dla mnie też, przywykłéj do cierpień, tak mało potrzeba do szczęścia, że się bez tego zbytkownego dodatku, którego tylko wypieszczeni losu kochankowie żądają, łatwo i bez żalu obejdę,

— Jesteś bardzo rozumna Julko, rzekł Edward chwytając kapelusz z odrobiną gniewu, który źle ukrywał: mało kobiét tobie podobnych, a jeszcze w takich latach!

— Bo mało kobiét tyle co ja cierpiało, odpowiedziała, i mało ich pewnie, tyle się, co ja, lęka najmniejszego cienia groźnego dla przyszłości.

— Ca za ostróżność! sam do siebie szepnął Edward, co za chłód i rozwaga! Miałażby istotnie tak bydź zimną, tak wyrachowaną? Bydź że to może?

Julka kończyła.

—Nareście, drogi mój panie, nie byłożby to zbrodnią gdyby mi nie wystarczały uczucia które mam dla ciebie, spokojne, nie groźne a tak miłe!

To mówiąc zwróciła ku niemu oczy.

Edward spotkał je i gniew jego, który duszą wstrzęsać zaczynał, zachwiał się i upadł. W oczach jéj bowiem, tyle wyczytał uczucia, tak one sprzeciwiały się z ustami, tak mówiły i obiecywały miłość, że zapomniał o wyznaniach przykrych uczynionych przed chwilą.

Biédna Julka nie umiała jeszcze wyrazu oczów zastosować do mowy i zdradzała się spójrzeniem.

XII.

XII.

Zaledwie się drzwi za nim zamknęły, Julka, która nie przywykła była do udawania, padła zmęczona i smutna na kanapę. Uczyniła co czuła swoją powinnością, ale jakże jéj było boleśnie kłamać, jak boleśnie było widzieć w twarzy Edwarda smutek, zawód, niepewność, nareście prawie rospacz. Wszystko to jednak wytrzymała, bo powiedziała sobie, że obowiązkiem jéj było odstręczyć go od siebie. A ona go kochała! pojmijcie więc ofiarę, oceńcie moc jéj duszy. Czując szczęście tuż blizko, zawieszone nad głową na włosku, musiała je od siebie odpychać, musiała się go zaprzeć; jego przyszłość, jéj przyszłość, uczucie cnoty i obo-

wiązków utrzymywały je na tej drodze. Kto wie gdyby o nią tylko szło jedną, gdyby mogła była dać mu szczęście, choćby je długiemi łzami okupić potém miała i utratą niepowróconego nigdy pokoju duszy, kto wie, czyby się nie poświęciła; lecz ona pojmowała, iż jedna miłość może Edwardowi zepsuć całe życie, całą przyszłość, któréj by potém żałował, ona pojmowała, jak raz przeszedłszy próg zawrócić się trudno i wyrachować dokąd zajdzie.

Gdy Edward wyszedł, znużona, z twarzą rozognioną, bijącém sercem, głową zbolałą, upadła; chwyciła się za skronie, w których czuła gwałtowne bicie krwi, i bez myśli leżała długo. Zmrok padł, nie miała siły powstać. Serce jéj było ścisnione, a dopełnienie tego co widziała swym obowiązkiem, drogo je kosztowało.

Nie prędko przypomniała sobie patronkę swoją i ucieczkę w modlitwie, uklękła przed obrazkiem zawieszonym u łóżka, chciała się pomodlić, sparła głowę na poduszkach i po chwili usnęła w gorączce.

Edward wyszedł od niéj tak niespokojny, tak zawstydzony, gniewny, oburzony, a razem

nie pewny czego się gniewał i burzył, że niepotrafił się zastanowić nad sobą i swojém położeniem. Wszystko mu się w głowie przewracało, przypomnienia rozmowy któréj nie wierzył, marzenia, nadzieje; raz się gniewał i postanawiał więcéj jéj nie zobaczyć, to znów usiłował wmówić sobie, że ona co innego czuła, że ona przez pewien wstyd dziewiczy i dumę tak dziwną udawała nieczułość. Ostatnie jéj wejrzenie najbardziéj go o tém przekonywało; bo zadało kłamstwo słowom. Nim doszedł do domu, tysiąc przesnuł marzeń, smucił się i spodziewał, rozpaczał i roił szczęście. Nareście stanął na tém, że gdyby nawet w istocie Julka była taką, jaką się pokazała, któż wie czy taką będzie zawsze? może w niéj można czucie obudzić, jak rozwinięto umysł? może przyjdzie chwila w któréj brak życia, czczość, zapragnie gwałtowniejszemi uleczyć środkami?

— Tak młoda jest jeszcze! mówił do siebie, czekajmy, mówi że ma dla mnie uczucia wdzięczności, przyjaźni, one się nieznacznie, niewidocznie, powolnie odmienić mogą. Sama się nie opatrzy—Tak bydź musi.

Edward rozjątrzony teraz, nie myślał więcej porzucić jéj, miłość własna dodawała mu nowego zapału; tak to prawda, że niema bodźca skuteczniejszego nad nią. Teraz przywiązanie stało się jeszcze gwałtowniejsze, a pozyskanie jéj serca, koniecznością w oczach Edwarda, który wstydził się być zwyciężonym i upaść cicho, w walce w któréj wszystko zdawał się mieć za sobą.

—Czekajmy więc, kiedy czekać potrzeba, rzekł w sobie, czekajmy nie okazując co się tu dzieje w tém sercu. Ktoby powiedział, żeby istota z ostatniéj towarzystwa klassy, tyle miała rozwagi, a tak mało uczucia? pospolicie dzieje się przeciwnie, czucie aż do zbytku szczodre rozwija się tam w dole, u nas, na tak zwanym wyższym świecie, panuje zimny tylko rozsądek w piętnastoletnich nawet sercach. Kto wie, czy nie ja winienem sam sobie, żem jéj umysł wykształcił, a przez to ostudził serce— Lecz taką jak wprzód była, mógłżebym pokochać? Czekajmy i nie pokazujmy nic po sobie— zimno, spokojnie— Może też przyjdzie na nią chwila szału— a wówczas—

—Byłżebym tak podły, żebym z téj chwili

chciał korzystać? spytał sam siebie. Nie — Więc na cóż czekać? Edward nic sobie nie odpowiedział.

Nazajutrz nie był u Julij. Wiele musiało go kosztować to zwycięztwo nad sobą; bo sto razy zrywał się, brał za kapelusz i wracał od drzwi, ze schodów, od bramy. Wieczorem wybiegł aż w ulicę i znowu rozmyśliwszy się powrócił.

— Nie potrzebuję widywać jéj tak często, mówił do siebie — Moja miłość rozpłomienia się tém więcéj coraz, ona nic nie czuje, a ja się dręczę. Dość będzie pójść tam raz we dwa dni, dość zajrzeć na chwilę, kiedy ją ujrzę zmienioną, smutną, kiedy będę mógł domyślić się, żem jéj potrzebny, natenczas wrócę. Trzeba mieć moc duszy i siłę nad sobą!

A to mówiąc wybiegał jeszcze i jeszcze powracał.

Co się działo z Julią, trudno opisać. Czekała go o zwykłych godzinach, spoglądała na drzwi, za każdym poruszała się szelestem, przydawał jéj się sto razy chód jego, zrywała się go widzieć, gdy nikt nie przychodził. Tak minęła dnia połowa; zdarzało się wprzódy że Ed-

ward raz tylko odwiedzał ją wieczorem, jakkolwiek więc przykro jéj było, że próżno wyglądała, miała nadzieję, pewność, iż go zobaczy jeszcze. Zaledwie zmierzchać zaczęło, porzuciła robotę, siadła w okienku które wychodziło na ścieżkę od drogi Antokolskiéj; patrzała, czekała. Godzina zwykła przyszła i przeszła, ona jeszcze czekała. Z początku wątpliwość, potém niepokój ją ogarnął; jednakże nie zamknęła okna i czekała go jeszcze.

Zciemniało się, noc nadeszła, Julka nie umiejąc się wyrzec nadziei widzenia go, nie przestawała wyglądać. Późno bardzo, odeszła od okna i załamała ręce, spuściła głowę, zapłakała gorzko.

—Nie przyszedł! zawołała, nie przyszedł! wczoraj go zraziłam, odstręczyłam, widział mnie zimną, zaparłam się swojéj miłości, udałam nieczułość, teraz on mnie nie chce widzieć nawet, on mnie może ze wszystkiém opuści. Chwaliłam mu się wdzięcznością i przyjaźnią! A! gdyby wiedział, ile więcéj czuję dla niego — Lecz on tego nigdy wiedzieć nie będzie, tajemnica moja umrze ze mną — Mój Boże, mój Boże, czemuż ja tak cierpię, gdym tylko raz

go nie widziała przez dzień, już mi się zdaje, że wieki jak mnie opuścił, żem najnieszczęśliwsza. Jakże ja wytrzymam dalej, jakże ja zniosę ciężkie moje ofiary. Ach! matko Boża, dodaj sił swemu dziecięciu!

XIII.

XIII.

Nazajutrz, Edward z rana jeszcze, raniéj niż zwyczajnie był u Julki. Pomimo mocy, którą miała nad sobą, niepodobna jéj było nie pokazać trochy smutku, snującego się po twarzy. Udawała wesołość, ale to udawanie tak było niezgrabne, że je łatwo poznał, nawet Edward. Wczorajsze lepiéj jéj się udało; dziś nadto czuła, żeby mogła obojętność wygrać zupełną. Nie śmiała wszakże spytać o przyczynę wczorajszéj niebytności; zdawało jéj się że ją wiedziała, bała się rozmowę w tę stronę zawracać. Edward sam się tłumaczył.

— Byłem trochę chory, trochę smutny, trochę zajęty, kilka razy szedłem do ciebie, zawsze mi cóś przeszkodziło.

— A! Panie, przerwała Julka żywo, po tylu ofiarach dla mnie, śmiałażbym pomyśleć nie tylko wymagać, abyś najdroższego czasu jeszcze dla mnie czynił ofiarę? Godziż się, jakby tłumaczyć przede mną, gdy i to łaska, jeśli tu kiedykolwiek zajrzysz.

Mimowolnie w akcencie Julij, było trochę więcéj uczucia, niż chciała; niewprawna, wydała się nawpół z tém co się działo w jéj sercu, zdradzała się także unikając spójrzenia, spuszczając oczy, nie umiejąc wczorajszéj swobody, poufałości, śmiałości odzyskać.

Edward łatwo postrzegł zmianę, lecz przypisał ją, wczorajszéj swéj niebytności, która mogła przestraszyć dziewczynkę nie mającą innego nad niego opiekuna, lękającą się powrotu do życia pracy, upokorzeń, spodlenia, z którego ją wywiódł, a niejako trzymał jeszcze zawieszoną nad niém.

Gdy więc Julka sama czując, że się zdradzała, plątała się coraz bardziéj, Edward brał to wszystko nie za uczucie, lecz za przestrach, który taiła, i dać mu widzieć nie chciała.

Ulitował się nad nią, bo ją szczérze kochał, jął więc zaraz rozwodzić się z kłamliwém wy-

szczególnieniem wczorajszych zatrudnień, aby wytłumaczyć się, uniewinnić, i wszelką bojaźń od niéj oddalić. Czynił to z czuciem, potrafił więc kłamstwu dać wszelkie pozory prawdy i uspokoił dziewczynkę. Tu jednak mimowolnie zboczył z drogi, którą był sobie na przyszłość przepisał, i nie okazał się tak zimnym i obojętnym, jakim być miał. Owszem nastając na uniewinnienie siebie, popierał swoją sprawę, z większym niż kiedykolwiek zapałem.

Postrzegłszy się potém, gwałtem obwinął się chłodem, umilkł, zaczął chodzić po izdebce i zamyślony zdawał się całkiem nie uważać na Julkę.

— Nie dziwuj się, rzekł do niéj po chwilce, jeśli czasem teraz, rzadziéj widzieć mnie będziesz niż wprzódy, jeśli nie przyjdę dzień cały, może dwa dni.

— Dla czegoż? spytała patrząc mu w oczy Julka.

— Mnóstwo zatrudnień, różne przyczyny o których długo byłoby rozpowiadać, nie jestem zupełnie swobodny.

— Cóż się stało?

— Nic — zmiany, okoliczności, interessa.

— Może co złego?

— Nic złego, wszystko jak dawniéj, odpowiedział zimno, jeślibyś w przypadku potrzebowała czego ode mnie, przyszlij tutejszego chłopca, wiész gdzie mieszkam, napisz słów kilka.

Milczeli, Julij się serce krajało z żalu, ale wszystko zamknęła w sobie. To zapowiedzenie wczesne, ta groźba niejako, była dla niéj zrozumiałą, dręczyła ją okropnie, ale nie wymogła na niéj najmniejszéj oznaki czułości; dziewczynka powiedziała sobie, że dla przyszłości ich obojga, musi wszystko pokryć w sobie i miłość swoją Bogu tylko i swemu sercu zostawić; powiedziała i dotrzymywała. Edward znowu marzył wielką ofiarę z siebie dla niéj i postanawiał nie odkryć przywiązania, które jéj mogło być tylko nieznośnym ciężarem, bo nie podzielając go, przez wdzięczność, przez położenie swoje przyjąćby je musiała.

Tak oboje walczyli z sobą, nie wiedząc o swoich cierpieniach. Bez wątpienia Julka i więcéj uczyniła i więcéj cierpiała, Edward miał tysiąc na świecie wynagrodzeń, ona żadnego; on mógł zapomnieć o niéj w tłumie innych, ona była sama jedna i sama musiała wystarczać sobie.

Kilka dni tak przeszło, kilka dni długich, okropnych, smutnych, w przeciągu których ledwie się parę razy widzieli, a skutkiem walki wewnętrznéj, skutkiem tego rozdziału, zimniejsi byli z sobą niż kiedykolwiek, mniéj się coraz rozumieli. Tracąc się z oczów, witali się potém jakby obcy, coraz bardziéj cudzy. Położenie ich dla obojga było nieznośném. Edward zamyślał zapewnić jéj przyszłość i nigdy więcéj nie widzieć, aby siebie uleczyć z miłości śmiésznéj, ją uwolnić od tego co zwał swém natręctwem. Zachodziły jednak trudności, jak to uczynić wypadało. Tymczasem, widząc że spodziewane uczucie nie przychodzi, nie mając nadal cierpliwości oczekiwać go, rzadko ukazywał się u Julki i krótko bawił, bo rozpacz i udręczenie, których doznawał, taką nad nim górę wzięły, iż pokryć ich nie umiał.

Julka widziała wszystko, pojęła. Któraż kobiéta jakimś instynktem nie czyta w sercu najlepiéj utajonego kochanka? Bóg dał im tę władzę; najmniéj przenikliwa pozna uczucia które wzbudzi, piérwsze objawienie, najlżejszą oznakę zrozumié.

W miarę rosnącéj boleści Edwarda, czytała

postęp jéj Julka, w obłąkanych oczach, urywanéj rozmowie, postępowaniu pełném dziwacznych i namiętnością tylko tajoną dających się tłumaczyć, poruszeń; cierpiała podwójnie, jego i swojém cierpieniem; część jéj była tém cięższą, że i miłość ukrywać i boleść taić musiała i grać obojętność i okazywać jakby nic nie widziała.

Wkrótce jednak z rosnącą trudnością, uczuła że nie podoła wszystkiemu, że dłużéj udawać i taić się nie potrafi, siły ją odbiegły, odwaga upadła, wprzód tak potężny strach przyszłości, bojaźń upadku i zgryzot sumienia zacierały się; czuła że słabła, a nie mogła w modlitwie nawet sił dawnych odzyskać. Jakaś obojętność na przyszłość, na świat, na wszystko zajęła serce — znużona była walką.

Edward zaś w tém wyczerpaniu odwagi i zaparciu się siły, widział tylko nowe oznaki oziębłości, chłodu serca, braku czucia, o które obwiniał Julkę. Kochał ją bardziéj jeszcze niż kiedykolwiek, ale nawet tą niewyczerpaną nadzieją, jaką zwykle mają kochankowie, nie potrafił rozjaśnić przyszłości, w któréj chmury widział same.

— Może tak i lepiéj, rzekł w sobie, ona będzie szczęśliwa, bo niéma serca, ja — ja się rozerwę, pojadę, zapomnę może, a przynajmniéj zagrzebię w sobie tak śmieszną namiętność. Pójdziem każde swoją drogą! Nie opuszczę ją jednak, uczynię zapis który jéj zapewni swobodę na zawsze, polecę ją w opiekę jakiéj uczciwéj kobiécie — Kto wié, może też inny będzie szczęśliwszy ode mnie, może kiedy i ona kochać potrafi!

—O nacóż tak długo patrzałem na nią, nacóż dozwoliłem przyjść do tego stopnia chorobie!

XIV.

XIV.

Nareście pod ciężarem uczuć, walki, niepewności, udręczeń nad siły, Julka zaczynała upadać. Edward postrzegł jednego wieczora, iż blada jej zwyczajnie twarzyczka, jeszcze się bledszą stała, oczy wpadły i zagasły, usta zsiniałe skryły się prawie; głowa opadała na piersi, oddech był ciężki jakby jej brakło powietrza, a ramiona uginały się mimowolnie, jakby pod ciężarem.

— Nie czujesz się słabą? spytał.

— Ja? cicho odpowiedziała dziewczynka — nie —

— Zdajesz się smutną, — cóś ci dolega.

— Nic a nic, odezwała się znowu spokojnie Julka, trochę mnie dziś głowa bolała, może dla tego inaczéj wyglądam.

Edward dał jéj dobranoc i wyszedł, ale niespokojny wstrzymał się za drzwiami, pierwszy to raz lękając się o jéj zdrowie, odważył się ją szpiegować i stanął u okna.

Zaledwie wyszedł, Julka porwała się z krzesła, odetchnęła jak gdyby szukała powietrza, którego jéj brakowało, pobiegła do okna, otworzyła je i w niém płakać zaczęła gorzko nad sobą i cierpieniem któremu podołać nie mogła.

Edward ujrzał ją płaczącą i pojąć łez jéj nie mógł, ale na widok ich straszliwa opanowała go niespokojność, miał jak gdyby przeczucie wszystkiego, ale nie był jeszcze pewny.

Długo tak dziewczyna płakała w oknie, potém pos. ' do drugiéj izdebki i rzuciła się nierozebrana na łóżko. Nie miała siły nawet na modlitwę; uczuła zimny dreszcz przebiegający po ciele, szum w głowie; sen, ten sen straszny chorych, sen przezroczysty przez któren wszystko widzą i czują co się w koło nich dzieje, zamknął jéj powieki. Wkrótce przyszła gorączka, lice zapłomieniło się, pragnienie pa-

lić zaczęło, głowa gorzała, piersi poruszały się częstszym coraz oddechem, a słowa wymykać się zaczęły z ust niewstrzymane, obłąkane, straszne, niepowiązane z sobą, jak gdyby z innego przychodziły świata.

Przy świetle dogorywającej świeczki, przytulony do szyby widział Edward stan Julki, poznał cierpienie, usłyszał nawet kilka wyrazów, a ich dźwięk przekonał go bardziej niż wszystko o obłąkaniu choréj. W sercu jego burza była okropna, tejemnica bowiem wielka wykrywała się przed nim w tych wyrazach po jednemu z ust jéj wzlatujących. Poznał że był kochanym, że w piersiach téj kobiéty potrafiła się ukryć do niepoznania miłość, aby nie zatruć jego życia, że obojętność Julij, była tylko bohaterskiém męczeństwem, ofiarą nad siły. Wszystko wiedział.

Naówczas oszalał prawie nie wiedząc co począć. Julja w gorączce wzywała śmierci, modliła się o nią do Matki Bożéj, a śmierć i bez cudu przyjść mogła, bo choroba wzmagała się strasznie.

Edward poleciał co tchu po doktora. Nie pokazał się z nim razem u łóżka choréj, zrozu-

miał iż przytomność jego nie w porę by była, nie wiedział też co i jak dalej robić; czy wyznać jej, że wiedział tajemnicę, czy uciec i nie widzieć jej więcej?

Lekarz zapisał chłodzący napój, gdyż gorączka była tylko zapalną, a Edward osadziwszy u łóżka służącą tego domu, wrócił nad ranem do siebie bezprzytomny i sam prawie w gorączce.

XV.

XV.

Nazajutrz posłał Edward dowiedzieć się o jéj zdrowie, a nie doczekawszy się odpowiedzi, sam pobiegł na Antokol.

Julka miała się lepiéj, smutna i blada siedziała na łóżku, gorączka ustała była zupełnie, osłabienie tylko po niéj zostało.

— Jakim sposobem znalazł się tu doktor? spytała Edwarda.

— Wychodząc ztąd, postrzegłem żeś nie była zdrowa, powróciwszy do domu napisałem do doktora, prosząc aby cię zaraz odwiedził. Szczęściem że nadjechał, bo jak mi mówił, leżałaś w gorączce, gdy przybył.

Julka zamyśliła się, westchnęła, umilkła.

— Zaśnij, spocznij, rzekł do niéj Edward, potrzebujesz wypoczynku, nie będę ci przeszkadzał, chociaż życiębym dał, żeby zostać przy tobie!

Julka podniosła na niego oczy zdziwione; piérwszy to raz usłyszała z ust jego takie wyznanie. — Wczoraj jeszcze tak był zimny! pomyślała, cóż to się stało, mamże ja umrzeć?

— Wieczorem przyjdę się o twoje zdrowie dowiedzieć, dodał Edward. Wszystko czego możesz potrzebować przysłałem już, przyjąłem ci służącą, bo obca nigdy tak jak swoja nie usłuży. Nadewszystko proszę cię bądź spokojna.

Julka zaczerwieniła się, ale nic na to wszystko nie umiała odpowiedzieć.

— Dla czegoż, spytała sama siebie, tak mi zalecał spokojność? Cóż to znaczy? Czym się ja z czém wydała? Poznalże co się we mnie dzieje! Ach! to okropne, to okropne życie, dodała płacząc, lepsze już były dawne moje cierpienia! O! sto razy.

Lecz gdy słaba Julka myśli i dręczy się myślami, Edward niemniéj niepewny, udręczony, szalony swojém szczęściem, z którém nie wié co zrobić, przebiega miasto, nie mogąc spokoj-

nie chwili w miejscu usiedzieć. Jeszcze wieczór nie nadszedł, on znowu jest w domku na Antokolu, znowu u jéj łóżka, wpatrując się w bladą twarz i przygasłe oczy dziewczynki, od płaczu i znużenia zaczerwienione.

Nie śmiejąc jéj powiedzieć, że wié o wszystkiém, Edward przesiedział część wieczora, nie umiejąc poprowadzić rozmowy. Tu dopiero mógł ocenić wielką ofiarę dziewczynki, gdy sam na sobie sprobował, jak nie tylko uczucie, lecz wiadomość obchodzącą mocno, trudno w sobie pogrześć, aby się z nią nie wydać.

Nazajutrz Julka wstała; nie była ona zupełnie zdrową, lecz choroba odeszła, zostawując tylko ślad po sobie, osłabienie. Dłużéj nie mógł już wytrzymać Edward, pasując się z sobą nie potrafił wymódz na sobie, zachowanie tajemnicy. Wieczorem, gdy sami tylko zostali, zbliżył się do Julki, wziął ją za rękę i przyciskając do serca — rzekł.

— Juljo, nacoś to przede mną taiła, za cobym był dał życie?

— Co? krzyknęła przestraszona Julka, ja taiłam przed — tobą? ja?

— O! umiem ja ocenić twoje poświęcenie

mój aniele, zawołał, postrzegłaś moją miłość, chciałaś mnie z niej wyleczyć i udawałaś żeś jéj nie podzielała.

— Ja? ja? na Boga! cóż to, wołała Julja — Cóż się stało? jakim sposobem? ach!

— Gdyś była chora, wszystko powiedziałaś w gorączce, wszystko słyszałem, wiem wszystko.

I ukląkł przed nią, całując jéj ręce. Julja tak była przestraszona, przejęta, zdziwiona, pomieszana, że długo słowa wymówić nie mogła.

— Stało się! Bóg tak chciał! zawołała, zginęliśmy! O! nieszczęśliwa!

Te wyrazy płacząc powiedziała.

— Cóż ci to jest? spytał zmięszany Edward, co ci jest? czego płaczesz? Wstyd ci? Jestże wstydem pokochać — Któż drugi jak ty kochaćby potrafił? Juljo! uspokój się!

Ona rękoma twarz zakryła i płakała.

— Na Boga, na wszystko zaklinam cię, zawołał Edward, uspokój się, ulituj nade mną. Chceszże iżbym się skarał za to, żem ci to nieostróżnie powiedział. Juljo, maszże mnie za człowieka tak podłego, żebym z twoich uczuć dla mnie chciał podle korzystać? Czyliż już mi nie wierzysz?

— Tobie! zawołała Julja przychodząc do siebie, o najszlachetniejszy człowieku, godziłożby się nie ufać? Chciałżebyś téj którą — powiadasz że kochasz, zostawić w nagrodę jéj przywiązania zgryzoty? Chciałżebyś korzystać z mojego położenia?

— Nigdy, zawołał Edward uniesiony, exaltowany, który w téj chwili nie wiem na coby nie przysiągł, nigdy! przysięgam ci! kocham cię jak anioła, który mi się cudem u Matki Bożéj Obrazu zjawił, jak siostrę; szanuję ciebie, czczę.

To mówiąc klęczał i w ręce ją całował; milczeli długo oboje. Położenie ich tak się nagle zmieniło, iż nie wiedzieli jak teraz przemawiać do siebie. Julja mimo przysiąg Edwarda była bardzo smutna.

XVI.

XVI.

— Wieszże ty, mówił nazajutrz Edward do Julij, wieszże od jak dawna kocham ciebie?

— Wiem, odpowiedziała mu naiwnie, dzień prawie i godzinę od któréj się miłość twoja poczęła a moje cierpienia. Naówczas spytałam i ja siebie raz piérwszy, a serce mi odpowiedziało, że kochałam ciebie. Biegłam i modliłam się do Matki Bożéj, jak wczoraj dziś i codzień czynię, aby się opiekowała sierotą i nie dała jéj zginąć. I wówczas zaraz weszła mi do duszy myśl tajenia mojego uczucia przed tobą, uczucia, z którém walczyłam tak długo, aż nieprzewidziany wypadek — Ach! płonę cała ze wstydu! tyś podsłuchiwał!

— Nie mów, żebym to czynił z ciekawości— byłem niespokojny o ciebie, zdawałaś mi się chorą, lękałem się — Gdy pierwsze słowo z ust ci się wyrwało, gdym mógł już domyślać się reszty, nie miałem sił uciekać, nacóżby się to zdało? Nie lepiejże, że wszystko skończono i spokojność obojgu wróciła?

— Spokojność? spytała Julka powolnie, ufaszże w przyszłość?

— Widzę ją jasną i szczęśliwą jak dzień dzisiejszy — Wkrótce... Tu się zatrzymał chwilę.

— Tak, dodał, ty będziesz moją żoną!

— Ja! porywając się zakrzyknęła dziewczynka, ja! tyś to pomyślał! tyś to powiedział szczérze?

— Najszczérzéj!

— O! dzięki ci za to słowo,— odpowiedziała po chwilce, umiem z niego ocenić ciebie, i poznaję żeś mnie więcéj kochał niżem się spodziewała. Dzięki ci — za przyrzeczenie; ale ty marzysz w zapale, a mógłżeś sądzić, abym ja taką przyjęła ofiarę?

— Jestże to ofiara?

— W téj chwili, nie pojmujesz jéj, ale ja, ja widzę wszystko sercem, mojém przywiąza-

niem ku tobie — O! to nigdy, nigdy być nie może!

— Wątpiszże o mnie?

— Ja, twoją żoną, mówiła Julja, ja sierota, ja biedna dziewczyna, ja bez rodziny i nazwiska? A cóż na to powie świat, krewni twoi, rodzina?

— Muszą zezwolić.

— Zezwolą ale co pomyślą! odpowiedziała Julja — jestże w waszym świecie kto taki coby pojął, coby uwierzył, że żyjąc z sobą tyle czasu, byliśmy czyści oboje? Chciałżebyś żeby żonę twoją wskazywano palcami! O! nigdy! nigdy!

— Więc oddalim się od nich.

— W pierwszej to chwili takie się robią zamysły. Ja nie znam waszego świata, ale go z xiążek przeczuwam. Dla jednej kobiety, nie zerwie człowiek wszystkich węzłów które z nim wiążą świat, które go łączą z rodziną, towarzystwem, z wszystkiem do czego od młodości przywykł, co kocha nałogiem. Mógłbyś się oddalić od nich, lecz pożałowałbyś tego, a wówczas ja, jabym tylko cierpiała, żem przyjęła ofiarę nad siły. Nie — Edwardzie — zostańmy jak jesteśmy, czyści i dalecy od siebie —

widujący się jak przedtém, zostawmy losowi resztę, może on rozwiąże tę zagadkę okropną, którą ty sam, podając mi rękę zadałeś sobie i mnie. Twoją żoną! twoją żoną! powtarzała, znać żeś to wyrzekł w zapale.

— Ale ja nad tém myślałem, myślałem długo, rzekł Edward, nie jest to urodzony w téj chwili projekt, któryby bezsilny mógł spełznąć, ja go doprowadzę do skutku, jam go ważył, ja go rozebrałem. Słuchaj mnie, nie mam blizkich krewnych, jestem także sierotą, nikt nade mną praw żadnych niéma, jestem wolny i swobodny. Świat ten, z którego ci czynię ofiarę niczém jest dla mnie, mało w nim żyłem, małom go kochał, od roku i więcéj, całkiem się go już dla ciebie zaparłem. Wszystko więc jest podobném do uskutecznienia, niéma ofiary, trudności, zawady.

— Edwardzie, odpowiedziała Julja, tak tylko dziś ci się zdaje. Cóż gdybyś po roku, gdybyś w lat dziesięć, lepiéj poznawszy tę, z którąś się połączył, żałował swego kroku. Mogłażbym to znieść i nie umrzeć z rozpaczy? Pod wpływem uczucia, wszystko ci dziś zdaje się łatwém, podobném; a ja się lękam, ja widzę że

to być nie może! Jestżem tego warta? Znamże ja ten świat do którego mnie wwiedziesz, zwyczaje, przyzwoitości, jego mowę, jego ruchy? Nie byłażebym śmiészną, zuchwałą, ja com żyła w tułactwie, ja sierota! A ileż cierpień, ile wstydu na tym świecie waszym by mnie czekało? Nasza przeszłość nie byłażby dla twoich braci obrażonych, do tysiąca potwarzy osnową? Nie, Edwardzie — jest wielka słuszność w tych granicach, które klassy między sobą kładą. Czytałam o tém szyderstwa, a czułam że niesłuszne. Biada temu, kto próg w dół lub w górę przestąpił, w jednym i drugim razie, prędzéj czy później żal go czeka — Swoi go nazad nie przyjmą, a tamci odepchną, zostanie sam jeden!

— Lecz to, rzekł Edward, co ci się tak nieuskutecznioném i trudném wydaje, codzień się dopełnia na tym naszym (jak go zowiesz) świecie, bez wrzawy i podziwienia. Codzień schodzą jedni, podnoszą się drudzy — ludzie zaledwie na to patrzą. Wreście, mamże wszystko powiedzieć? najtrudniejszém w tych przejściach z jednéj do drugiéj klassy towarzystwa, nie jest przyjęcie téj lub tego, którzy już czémś

zasłużyli na to, ale przyjęcie z niemi razem ich koła, ich rodziny. Tyś sierota, ty nie masz nikogo.

— To prawda, odpowiedziała Julja, jeślibym była zawadą, to sama jedna tylko — Przecież, dodała z gorzkim uśmiechem i sieroctwo na coś się przydało. Jednakże im więcej myślę, tem mocniej czuję, że to nigdy być nie może.

— Ale to będzie! zawołał Edward.

— Nie, nie, odpowiedziała Julja stanowczo, ja widzę, ja czuję, jabym tam była tobie ciężarem, tybyś się mnie wstydził, jabym była śmieszna! Dla ciebie świat ma jeszcze tyle obietnic, tyle nadziei, i tyś bogaty, dobrze wychowany, młody, miałżebyś skończyć na tem, co i ja i ludzie nazwą szaleństwem młodości!

— I ty mogłabyś tem imieniem, nazwać naszą świętą miłość?

— O! z innego świata, inaczéjbym ją widziała, innem może nazwała imieniem, z naszego, tutejszego, jakże ją nazwać proszę! Może, gdy kiedyś w niebie, tam będziemy, wyda się ona piękną i szlachetną, ale na to potrzeba, dodała z westchnieniem, aby się skończyła jak zaczęła — ofiarą.

XVII.

XVII.

Późno wieczorem Edward odszedł zamyślony, mimowolnie uderzyły go pełne trafności, rozsądku i uczucia słowa Julki, która teraz jeszcze mu się wyższą, jeszcze wydała cudowniejszą istotą. Przywiązanie jednak ku niej, zbijało wszystko, co przeciw niestosownemu związkowi powiedzieć było można. Ufał też że Julja da się w końcu przekonać i nakłonić.

— Na Boga, rzekł do siebie po chwili rozmysłu, gdybym to co się ze mną od roku dzieje, jednemu z moich przyjaciół powierzył, myślałby żem oszalał, albo przez sen bredzę! A jednak to wszystko stało się i dzieje!

I miał słuszność, bo ze zwykłego stanowiska uważana, dla tych którzy nie wierzą w cnotę, w ofiary, w exaltacją poetyczną, jego historja wydałaby się bajką z Tysiąca Nocy. Słyszałże kto o czém podobném dzisiaj, o dwojgu takich kochanków, którzyby dotrwali czyści najwyższego rozkwitnienia namiętności?

Nazajutrz około południa Edward jak był przywykł, szedł na Antokol, myślał o Julce, o sobie i o dziwaczności położenia i stosunków w których zostawali. Zadumany przebył ścieżkę stromą, zbliżył się do drzwi, wszedł do izdebki — Spotkał się z służącą.

— Gdzie pani?

— Gdzieś wyszła.

— Zapewne do Ostréj-bramy na mszą, rzekł do siebie, a potém na przechadzkę, poczekam na nią.

Usiadł i czekał, Julja nie przybywała, południe minęło, jéj nie było. Natenczas uderzyło go dopiéro, gdy spójrzawszy na jéj łóżeczko, nie zobaczył nad niém Obrazu Matki Bozkiéj. Serce uderzyło mu gwałtownie, wzdrygnął się, porwał, przestraszył.

— Gdzieżby się podziała? zawołał chodząc niespokojny.

— Ale to marzenie, dodał po chwilce, to marzenie tylko, dla czegożby....

Tu na myśl mu przyszły wczorajsze jéj słowa. że miłość ich powinna się skończyć — ofiarą. Zadrżał, ale jeszcze swemu nieszczęściu nie wierzył. Wtém na stole spostrzegł papier i swoje imie na nim.

Pochwycił go, to była ręka Julki; bezprzytomny rzucił się na kanapę, rozdarł go nie rozwinął i czytał.

Było tam tylko kilka słów pożegnania bolesnych, bo prostych, bo pod niémi znać było łzy i cierpienie straszne. Julka dziękowała mu za wszystko, prosiła aby jéj nie szukał, błagała aby przyjął ofiarę.

— Ty, pisała, mam ufność w Bogu, będziesz szczęśliwy, ja pójdę tam gdzie modlitwą, poświęceniem, pokorą kupię spokojność i pociechę. Dłużéj być razem nie mogliśmy, a zawsze, ty wiesz, że było niepodobna.

Kończyła boleśnem pożegnaniem.

Gdy skończył czytać Edward porwał się za włosy:

— Głupi! szalony, zbójca jestem, zawołał — nie znałem tego anioła, nie wiedziałem jeszcze

jak postąpić! Potrzebaż było straszyć ją ślubem, aby zmusić do nowéj ofiary!

Rospacz jego była istotnie okropna — nie myślał jéj szukać, nie umiał, zwierzyć się lękał komukolwiek, pozostał pod ciężarem nieopisanéj boleści. Sposób jeszcze w jaki ją utracił, dodawał mu żalu; bo go pozbawiał wszelkiéj nadziei. Ze słów listu łatwo się było domyślić, że Julka musiała wejść do klasztoru. Chociaż do pewnego przeciągu czasu, mogła jeszcze się cofnąć; niepodobna było prawie odkryć ją w murach klasztornych nieprzystępnych badaniom. Druga trudność, Julka nie miała nazwiska, należała do klassy licznéj, w którą wmięszana, utonęła jak w morzu.

Wszystko więc zapowiadało Edwardowi, że życie jego wśród najpiękniejszych nadziei, rozerwało się i poczerniało nazawsze.

XVIII.

XVIII.

Powolnie upływał czas Edwardowi, który nie wrócił do raz porzuconego świata i żył sam tylko w sobie. Przeniósł się on do owego domku, pod którego dachem krótkich kilka chwil przepędził z Julką. Tu ze wspomnieniami żył swemi. Wszystkie sprzęty zostały na swoich miejscach, jéj łóżeczko usłane, jéj robota, jéj ulubione kwiatki; zdawało się, że wyszła tylko i miała powrócić za chwilkę. Lecz nie myślcie, że Edward wzdychał tylko i płakał; nie jest w naturze ludzkiéj długo w ten sposób utraty czyjéjkolwiek żałować. Usiłował on życie zapełnić czémś więcéj, oddał się nauce, a gasząc

w sobie młodzieńcze ognie, zostawił tylko za całą pamiątkę młodości, wspomnienie Julki, które możeby mu snem tylko się wydało, gdyby nie to mieszkanie, przypominające ją tak żywo.

Rok upłynął, rok długi i jednaki. Napróżno starali się przyjaciele wciągnąć go w świat, rozbić tę mizantropią, w której żył i nakłonić go do przemiany sposobu życia. Bez gniewu, zimno, odpychał ich rady, dziękował za życzenia, ale pozostał jak był. Jedyną jego rozrywką, najmilszém stanowiskiem, na którém przepędzał długie czasem wieczory, modląc się; bo teraz bardziéj niż kiedykolwiek stał się pobożnym, była galerja przed obrazem Matki Bożéj Ostro-bramskiéj. Ludzie się śmieli, z nabożeństwa, nazywali to dziwactwem, on litował się nad nimi, że go pojąć nie mogli.

Z tego miejsca codzień wieczorem, powracał spokojniejszy, ufny w przyszłość nieziemską, w życie lepsze, które wszystkich rozpierzchnionych przyjaciół połączy, wszystkie dłonie i serca przytuli na łonie Bożém. Tam on spoglądając na miejsce, w którém raz pierwszy ujrzał biédną sierotę płaczącą, w którém ze łzami da-

wno nieznanemi rzucił jéj jałmużnę, mającą go z nią połączyć, tam on nie raz z westchnieniem do Matki Bożéj, pytał, czy ta miłość niewinna i czysta, zasłużyła na tak okropny koniec? Potém, korzył się przed wolą Boga i znowu nadziejami swémi wybiegał na świat lepszy.

—Jeśli nie tu, to tam, mówił— musim się połączyć! Cierpieć, nie jestże przeznaczeniem naszém?

Czuł Edward, że każda przechadzka do świętego obrazu, spokojniejszym go czyniła, czuł że promienie łaski, którémi Bogarodzica świat obsypuje i na jego zranione padały serce; a im więcéj ufał w Bogu, tém spokojniejszém okiem patrzał w przyszłość. Miłość jego nie zmniejszyła się, ale pobożnością umiarkowała, oczyściła, upiękniła; a była wówczas taką, że gdyby ją był świat nasz szyderski zobaczył, byłby jéj nie wierzył, byłby ją nazwał szaleństwem. Edward też taił ją jak skarb w sercu.

Jednego wieczora późniéj niż zwykle wyszedł z domu, gdy przybył do Ostréj-bramy, była prawie godzina, w któréj niegdyś piérwszy raz Julkę tu zobaczył. Wspomnienie tém bardziéj go uderzyło w serce, że i pora była taż sama, ta-

ki sam chłodny wieczór jesienny, takież niebo, taż miasta fizjonomja, taż spokojność. A jakby na powiększenie boleści i złudzenia, w miejscu, w którém ujrzał biédną sierotę, raz piérwszy, postrzegł znowu klęczącą kobiétę, czarno ubraną. Serce mu uderzyło gwałtownie, stanął i modlił się, a mimowolnie oka z niéj nie spuszczał. Ona obejrzała się po chwilce, a widząc z odkrytą głową modlącego się mężczyznę, odwróciła się, poruszyła, przeżegnała, odeszła.

Kiedy szła Edward mógł lepiéj ją rozpoznać— Suknie jéj nie okazywały stanu, były czarne, skromne, na głowie miała chustkę, twarzy nie widział, bo się odwróciła, lecz chód, poruszenie, cóś nieopisanego przypomniały mu Julją; obejrzał się, już jéj nie było. Serce jeszcze mu biło gwałtownie pod ciężarem wspomnienia, ale wkrótce ukołysała je potęga modlitwy. Bardzo późno już do domu powrócił, i długo zasnąć nie mógł, nie umiejąc sobie wracającego co chwila niepokoju wytłumaczyć. Dawno już podobnego nie doznawał.

Nazajutrz znowu późniéj niż zwyczajnie poszedł do Ostréj-bramy, nie taił przed sobą, że chciał zobaczyć ten cień Julij, to jéj żywe wspo-

mnienie; że żądał tego zjawiska, które go tak żywo przenosiło w miłą przeszłość. Ale nazajutrz nikogo tam nie znalazł, pusto było i cicho.

Naówczas znikła iskierka jakiejś niedogasłéj nadziei, która mu, choć sam się do tego nie przyznawał, znowu zaświeciła w głębi serca; wrócił do dawnych pociech, nie rojąc już innych; a smutnie żegnając się z niémi, dziękował i za dwa dni, które przemarzył.

— Oczewiście, powiedział sobie, był to przypadek, ta kobiéta nie była Julją, moja wyobraźnia przypisywała jéj podobieństwo postaci i ruchu, których w istocie nie było.

I znowu rok upłynął, znowu takaż jesień nadeszła. Edward w niczém nie zmienił trybu życia, kupił tylko ów domek nad Wilją, urządził go na mieszkanie dla siebie, a dwie izdebki Julki, zostawił jak były. Tam przychodził on czytać, rozmyślać, modlić się. Świat wreście, który chwilę tylko zajmuje się człowiekiem, zapomniał Edwarda i przestał go ku sobie pociągać. On stworzył sobie w samotności życie o tyle, o ile z bolem w duszy, znośne być mogło; dzielił je między czytanie, rozmyślanie, rysunek, muzykę, modlitwę. Człowiek umie-

jący żyć duszą, z temi pomocnikami potrafi obejść się bez ludzi i świata, gdy ma tylko spokojne sumienie i widok przyrodzenia, tego wielkiego okrazu, którym nasycić się nigdy niepodobna. W młodym nawet zabije praca, namiętności, popędy i wszystko co w nim ze zwierzęcia zostało, życie uciecze do głowy, do serca i szczęście spokojne, pogodne jak piękny dzień jesieni, zabłyśnie nad nim. Biada temu kto tego szczęścia nie pojmuje, nigdy on szczęśliwy nie będzie, a zawsze płakać swéj przeszłości.

XIX.

XIX.

I znowu jesień nadeszła, ta pora, która smutnie przypomina człowiekowi nadchodzącą lub nadejść mającą starość. Edward nałogowie już życia swego porządkowi był posłuszny. Od czasu jak w Ostréj-bramie przed rokiem spotkał tę postać tajemniczą, która mu przypomniała Julkę, chodził na modlitwę później daleko, wracał prawie w północ do domu; ale nigdy nie zjawiła się więcéj.

Właśnie rok prawie był temu, gdy raz w wieczór posępny, przyszedł na swoje miejsce. Zwyczajnie nikogo tu nie zastawał, stracił więc nawet nadzieję i nie patrzał w galerją pamiętną

mu piérwszém Julki poznaniem. Wśród modlitwy przypadkiem obrócił oczy, cofnął się i zadrżał. Taż sama w czerni kobiéta klęczała tam. Ona nie widziała go i modliła się, oczy jéj były wzniesione, ręce załamane, słyszał szmer słów niewyraźny i cóś jakby płacz tłumiony. Głos ten którego tylko odbicie słabe dochodziło jego uszu, przypomniał mu żywiéj jeszcze Julkę, zbliżył się, spójrzał znowu. Blady promień lampy płonącéj przed Obrazem padł na twarz i oświécił ją. Zaledwie mógł oczom swym uwierzyć Edward.

— To ona była!

— O! teraz, rzekł w duchu, padając na kolana, teraz nic nas nie rozłączy!

Ona posłyszała szelest, obróciła się, spójrzała, porwała, chciała uciekać, Edward rzucił się naprzeciw niéj.

— Juljo! zawołał, w imie Boże, zatrzymaj się! zatrzymaj!

— Panie — ja pana nie znam! proszę mnie puścić! odezwała się kobiéta.

— Nie znasz mnie, rzekł znowu Edward, Juljo! ty mnie nie znasz? możeszże to powiedzieć! Posłuchaj, proszę cię, wstrzymaj się — Nie o-

szukasz mnie, poznałem cię, nie puszczę, przekonasz się, że twoja ofiara, nie była tylko tobie ofiarą. Dwa lata upłynęły, znalazłaś mnie tu znowu, wiernego twemu wspomnieniu — Świat, którego według ciebie, miałem żałować, opuściłem, on o mnie zapomniał.

Kobieta płakała.

— O słowo jedno cię proszę, aniele mój drogi, zawołał Edward, nie znaszże już mnie? zapomniałaś! powiedz mi, jestżeś szczęśliwą?

Kobieta milczała jeszcze.

— Więc odpychasz mnie!

— O! Edwardzie! odezwała się nareście słabym głosem.

— Juljo moja!

— Prawdaż to coś mówił, żeś mnie nie zapomniał jeszcze?

— Chodź i przekonaj się o tém, odpowiedział jéj — ja mieszkam w twoim dawniéj domku, żyję tam twojém wspomnieniem. Od dwuch lat nic nie poruszono z miejsca, i jam się ztamtąd nie oddalił, chyba żeby tu przyjść się pomodlić. Małoż to jeszcze dowodów?

— O! wartażem była tego! po cichu wyrzekła Julja.

— Lecz teraz, przerwał jéj Edward, wszak prawda, tyś poznała że to przywiązanie musi być wiecznem, że się niem opiekuje matka Boża, ty już nie opuścisz mnie, Juljo, powiedz — wszak nigdy?

— Nigdy!

XX.

XX.

W TYDZIEŃ potém czytano zapowiedzi w kościele XX. Karmelitów, Edward się żenił, całe miasto gadało o tém, nie pojmując tego kroku, jak wprzód nie pojmowało nabożeństwa i samotności. Nie potrzebuję mówić, jak okrutnie zżymali się na to wszyscy krewni, jakie historje powymyślano na biédną sierotę..

Dwa lata próby męczeńskiéj, w ciągu których nie spuszczając oka z Edwarda, służyć musiała, uczyniły ją świętszą jeszcze w oczach jego; może straciła na nich piękność dziewczynki, lecz prędko znowu pod szczęściem zakwitnąć mogła. Dusza jéj, umysł, serce, na otarciu się o świat zyskały jeszcze, nabierając siły i charakteru.

Wzięli ślub przed Obrazem Matki Bożéj Ostrobramskiéj, przed którym się piérwszy raz poznali, błogosławił im najstarszy Karmelita, siwy jak gołąb staruszek, który wiedząc ich historją, polecił ich opiece Najświętszéj Patronki. Wesele odbyło się bez żadnych przyborów, w domku na Antokolu, — ja tylko na niém byłem.

KONIEC.

Gródek. Wrzesień. 1840.

SPIS ROZDZIAŁÓW.